

Szkło bolesne – obraz dni

Fundacja **ART** 

 **MUZEUM
NIEPODLEGŁOŚCI**

 **Muzeum Romantyzmu w Opinogórze**

Mazowsze.
serce Polski

UCHWAŁA SEJMU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

z dnia 27 listopada 2020 r.

w sprawie ustanowienia roku 2021 Rokiem Krzysztofa Kamila Baczyńskiego (fragmenty)

W roku 2021 upłynie 100. rocznica urodzin Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Jest on, obok Tadeusza Gajcego, najwybitniejszym przedstawicielem poetów pokolenia Kolumbów – pokolenia, które swoje życie poświęciło Ojczyźnie.

Krzysztof Kamil Baczyński urodził się 22 stycznia 1921 roku w Warszawie. Od wczesnej młodości wyróżniał się niezwykłym talentem literackim i plastycznym. Był uczniem słynnego Liceum im. Stefana Batorego, uczęszczał do jednej klasy z Tadeuszem Zawadzkim ps. „Zośka”, Janem Bytnarem ps. „Rudy” czy Maciejem Aleksym Dawidowskim ps. „Alek”. Wartości patriotyczne przekazano mu w domu rodzinnym oraz w słynnej 23. Warszawskiej Drużynie Harcerskiej „Pomarańczarni”.

Krzysztof Kamil Baczyński rozumiał, że okres okupacji niemieckiej jest czasem, w którym młodzież musi czynnie uczestniczyć w działaniach mających na celu odzyskanie niepodległości przez Polskę. Zaangażował się w działalność konspiracyjną. Jako żołnierz Armii Krajowej służył w dwóch harcerskich batalionach, które zapisały się złotymi zgłoskami w historii Polski: najpierw w batalionie „Zośka”, a następnie w batalionie „Parasol”. (...)

Krzysztof Kamil Baczyński jest przez historyków literatury uważany za jednego z największych polskich poetów. Znane są słowa prof. Stanisława Pigionia: (...): „Cóż, należymy do narodu, którego losem jest strzelać do wroga brylantami”. Zdanie to, wskazując na dramatyzm losów kultury polskiej, jednoznacznie określa wielkość i geniusz talentu Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. (...)

W uznaniu zasług Krzysztofa Kamila Baczyńskiego dla polskiej sztuki, polskiej niepodległości i polskiej kultury, w 100-lecie jego urodzin, Sejm Rzeczypospolitej Polskiej ogłasza rok 2021 Rokiem Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Jednocześnie Sejm Rzeczypospolitej Polskiej oddaje hołd innym przedstawicielom poetów pokolenia Kolumbów poległym w trakcie okupacji niemieckiej – Tadeuszowi Gajcemu, Janowi Romockiemu, Zdzisławowi Stroińskiemu, Józefowi Szczepańskiemu i Andrzejowi Trzebińskiemu.

Krzysztof Kamil Baczyński

Szkło bolesne – obraz dni

antologia wierszy zestawiona
przez **Tadeusza Skoczka**

Warszawa 2022

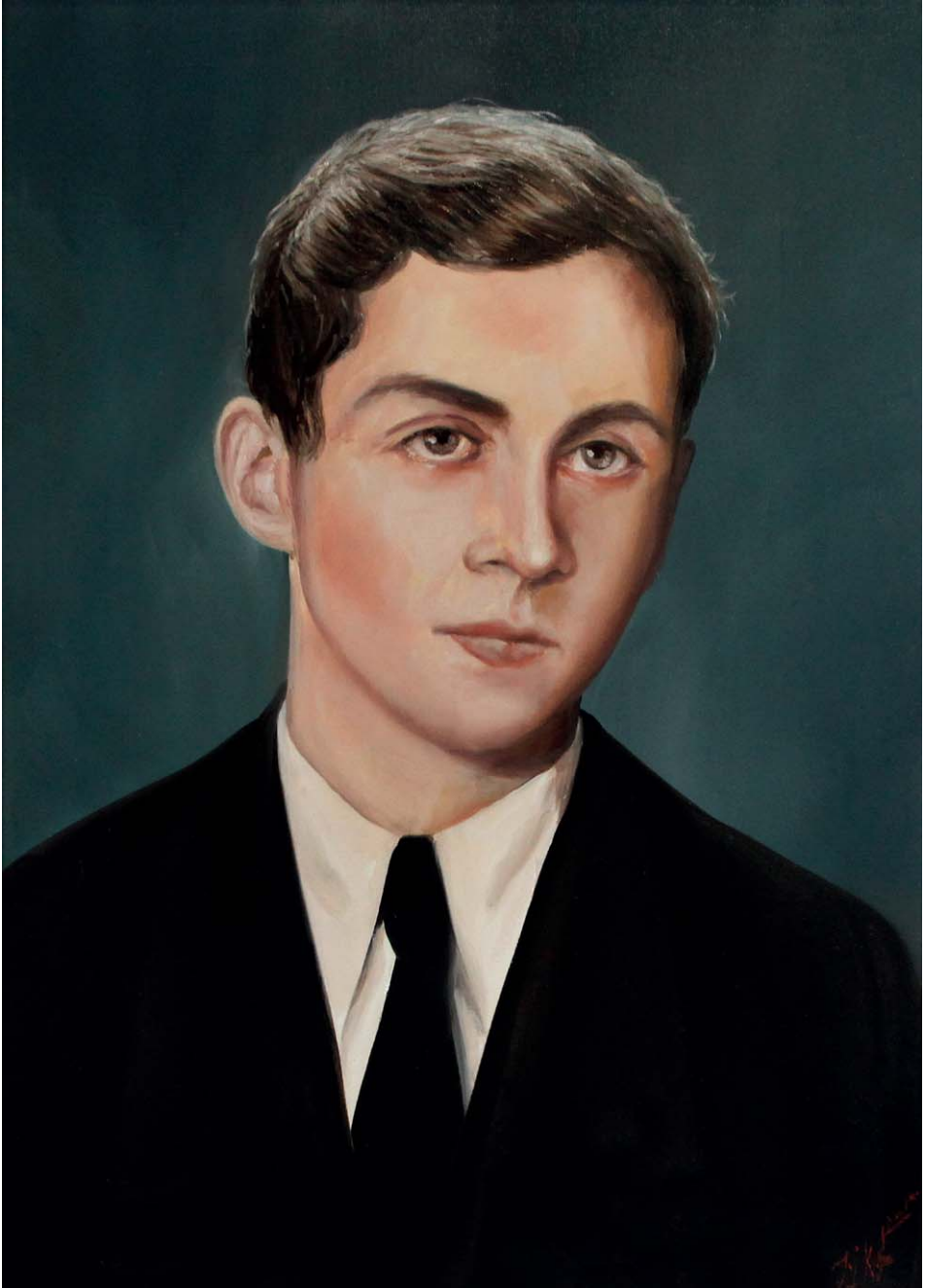
Partnerzy antologii:
Muzeum Romantyzmu w Opinogórze
Dyrektor **Roman Kochanowicz**
Fundacja ART
Prezes **Maria Reif**
Muzeum Więzienia Pawiak
Kierownik **Joanna Gierczyńska**

Projekt okładki
Karina Lewicka

Na okładce wykorzystano grafikę autorstwa
Krzysztofa Kamila Baczyńskiego
ze zbiorów Biblioteki Narodowej
Sygnatura Rps 7994II

ISBN 978-83-66640-61-0

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości
(identyfikator wydawnictwa naukowego 42 700)
al. Solidarności 62; 00-240 Warszawa
wydawnictwo@muzeumniepodleglosci.art.pl



Hakob Mikayelyan, *Krzysztof Kamil Baczyński*

Jego postać wpisuje się w kanon polskiej tożsamości, polskiej kultury. Był wybitnie utalentowanym spadkobiercą Norwida, Wyspiańskiego, a jednocześnie reprezentował także polską tożsamość i polskie wybory. Chciał żyć jak całe to pokolenie urodzone po odzyskaniu niepodległości przez Rzeczpospolitą w latach 20. Pokolenie naszych, moich rodziców, którzy mieli wtedy także inne bardzo poważne obowiązki do spełnienia, które nie pozwoliły młodemu Krzysztofowi Kamilowi Baczyńskiemu kontynuować swojej kariery artystycznej.

Tamto pokolenie podejmowało dramatyczne decyzje z rozterkami, ale jednak w sposób absolutnie zdecydowany. Rówieśnicy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego – „Zośka”, „Rudy” czy inni znani chłopcy, którzy zginęli w czasie wojny byli nad wyraz poważnymi na swój wiek, podejmującymi dramatyczne decyzje w pełni świadomie...

Piotr Gliński

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Baczyński. Między romantyzmem a katastrofizmem

Stulecie urodzin Krzysztofa Kamila Baczyńskiego obchodzone uroczysto i aktywnie w roku minionym przyczyniło się do ponownego zainteresowania twórczością wybitnego poety. Miesiące, a nawet bliskie lata poprzedzające owo stulecie obfitowało w wiele wydawnictw, koncertów, konferencji naukowych.

Najwięcej zasług dla recepcji twórczości najwybitniejszego przedstawiciela pokolenia Kolumbów miały media elektroniczne. Samorząd Województwa Mazowieckiego zorganizował w amfiteatrze na Woli wielki koncert pt. *Baczyński 100*, wczesnym popołudniem 1 sierpnia 2021. Płyta z tego koncertu błyskawicznie rozeszła się, miała też znakomite recenzje w prasie, radio i telewizji. Znajdują się tu poezje Krzysztofa Kamila Baczyńskiego recytowane przez Piotra Bajtlika, Grażynę Barszczewską, Karolinę Górczyce, Katarzynę Herman, Jerzego Schejbala oraz utwory zaśpiewane przez Marka Bałatę i Natalię Wilk. Całość opracowana muzycznie przez Włodka Pawlika, i wykonana przez jego kwartet, dopełnia artystycznego obrazu. Widowisko w wolskim amfiteatrze oraz płyta przypomniła zapoznaną już ideę wykorzystania znakomitej poezji Baczyńskiego na estradzie.

Tę twórczość na scenach całej Europy prezentowała najwcześniej Ewa Demarczyk. Nazywana pieśniarką wszechczasów, polskim czarnym aniołem teatru i estrady, upowszechniała na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, w swej znakomitej interpretacji, poezję Baczyńskiego. „Jeno wyjmij mi z tych oczu/ szkło bolesne – obraz dni,/ które czaszki białe toczy/ przez płonące łąki krwi./ Jeno odmień czas kaleki,/ zakryj groby płaszczem rzeki, / zetrzyj z włosów pył bitewny,/ tych lat gniewnych, czarny pył” – śpiewała dramatyczną frazę, do znakomitej i niepowtarzalnej muzyki Zygmunta Koniecznego. Od ponad osiemdziesięciu lat słowa poezji Baczyńskiego obecne są dzięki tym artystom w świadomości pokoleń. Demarczyk i Konieczny zaczęli swój artystyczny związek w kabarecie krakowskich studentów medycyny – „Cyruлик”. Ewa Demarczyk śpiewała od najwcześniejszej młodości, studiowała medycynę, architekturę, ukończyła krakowską PWST. Znana była z estrady Klubu „Pod Jaszczurami”, chociaż jej zapowiadany recital na dzień uroczystego otwarcia, 23 kwietnia 1960, nie doszedł do skutku. Olgierd Terlecki pisał w „Życiu Literackim” (nr 18, s. 12) między innymi:

„Dorobili się krakowscy studenci: przypadł im najbardziej uroczy lokal Krakowa. Klub „Pod Jaszczurami” otwarty kilka dni temu frapuje pod każdym względem. Jest w miarę dostojny, ale tylko w miarę, mianowicie dostoj-

ny w murach, reszta jest lekka, nowoczesna, dowcipna i zaskakująca. Studenci zapowiadają koncerty Ewy Demarczyk, Andrzeja Kurylewicza, Zbigniewa Namysłowskiego, Tadeusza Śliwiaka”.

Wcześniej, 16 kwietnia 1958 roku, w Teatrze 38 znajdującym się w piwnicach Klubu „Pod Jaszczurami” Waldemar Krygier (reżyseria i scenografia) przedstawił poetycki spektakl *Serce jak obłok*. Utwory z poematu Baczyńskiego wybrała do tego przedstawienia Wanda Błońska. W archiwum teatralnym przekazanym przez Stanisława Dziedzica do ówczesnego Muzeum Historycznego Miasta Krakowa znajdował się scenariusz programu z początkowym fragmentem utworu dedykowanego przez poetę swojej matce, oraz notatka ówczesnych władz sugerująca dokonanie skrótów w utworze. Administracyjnym cenzorom nie podobał się taki fragment: „W takich nocach się legną/ same mary tylko i skrzydła nawałnic./ Takie noce się karmi/ przez wiatr oderwaną ręką./ Takie noce dymią padliną –/ gnijącym runem obłoków;/ błędzący po nich giną/ w lęku i mroku.” Aluzje ikonicznego tekstu poety były nawet w atmosferze popaździernikowej Polski – zbyt przejrzyste.

Atmosfera klubów studenckich była w owym czasie otwarta, wolna. Niezależne grupy pod opieką Zrzeszenia Studentów Polskich, jedynej w owym czasie organizacji studenckiej, przeżywały żywiołowy rozwój, Stanisław Dziedzic w *Monografii Klubu „Pod Jaszczurami”* odnotowuje pod datą 14 lutego 1960 roku kolejne widowisko poetyckie – *Rapsody* zrealizowane w oparciu o teksty K. K. Baczyńskiego, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Jerzego Harasymowicza, Tadeusza Różewicza.

Poezja Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, odkrytego dla potomnych przez Kazimierza Wykę, a propagowana przez studenckich wykonawców – była obecna w świadomości środowisk akademickich. Romantyczne uniesienia kultury polskiej jeszcze trwały w środowiskach studenckich, nieco później wszystko wracało do „socjalistycznej normy”. Zaczęła panoszyć się cenzura, Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Jednak nie można było pomijać – w licznych w PRLu zbiorach i wyborach – wierszy Baczyńskiego. Andrzej Lam w wielonakładowej antologii *Kolumbowie i współcześni* (drugie rozszerzone wydanie w 1976 roku) rozpoczyna obszerną prezentację poezji tworzonej po roku 1939 właśnie od utworów tego poety. Rozpoczyna od pokolenia wojennego. „Nienormalne okoliczności startu literackiego spowodowały, że debiuty przedstawicieli tego pokolenia – rzecz to nieczęsta w dziejach literatury – rozciągają się na lat kilkanaście”. Wyjątkiem była twórczość Baczyńskiego znana już od 1940 roku z wydawnictw powielaczowych, znana i podziwiana, również przez krytyków. Twórca słynnego wyboru poezji współczesnej pisze we wstępie:

„Pora wyjaśnić, jakie założenia przyświecały temu wyborowi. Zostali nim objęci autorzy, którzy wydali pierwszą książkę poetycką po roku 1939. Ukazane są zasadniczo dwie formacje: pokolenie wojenne, nazywane pokoleniem „Kolumbów”, i pokolenie „Współczesności”, wchodzące burzliwą falą do literatury począwszy od roku 1956. (...) Podział taki ma oczywiście tylko pomocniczy charakter i nie w każdym wypadku da się przeprowadzić konsekwentnie. Jeśli Baczyński, Gajcy, Borowski, Różewicz są niejako klasykami „Kolumbów”, a Nowak, Grochowiak, Harasymowicz, J. M. Rymkiewicz, Bryll wyznaczają pole wyraźnie odmienne z punktu widzenia biografii, poszukiwań poetyckich, to ogniwa łączące stanowią Karpowicz, Szymborska, Białoszewski, Herbert, poeci mający wszelkie dane, aby odczuwać swoją bliskość bądź nawet tożsamość z „Kolumbami”. (...) Wydarzenia historyczne tak wykreśliły granice międzypokoleniowe, że pierwszą generację stanowią pisarze urodzeni w latach dwudziestych”.

Bez wątplenia takim „sztandarowym” przedstawicielem tego pokolenia był Krzysztof Kamil Baczyński (22 stycznia 1921 – 4 sierpnia 1944). Jego twórczość wywarła olbrzymi wpływ na współczesnych mu poetów, nie mówiąc już o literaturze lat powojennych. Stanisław Stabro, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, podążając tropem myśli profesora Kazimierza Wyki, sytuuje tę twórczość w obszarze zainteresowań romantyzmu twierdząc, że bardzo wiele było i jest w tej twórczości „tragicznej Grottgerowskiej, Słowackiej, Norwidowej Muzy”. Dostrzegł też i skomentował polemiki i wątpliwości, jakie – prawie natychmiast po ukazaniu się rękopiśmiennych nieraz tomików Baczyńskiego – formułowali jego rówieśnicy, którzy „w ówczesnych warunkach odbierali artyście prawo do zadawania pytań »nie na czasie«, formułowania wątpliwości i ideologicznych subtelności”. I dalej dowodzi autor jednego z rozdziałów *Historii literatury polskiej* zredagowanej przez Annę Skoczek, tomu IX poświęconego literaturze współczesnej 1939-1956, że Baczyński „padł ofiarą okoliczności i ludzi, którzy nie potrafili spojrzeć z dystansu na swoją rolę. Obrażliwe recenzje na łamach „Sztuki Narodu”, polemika Tadeusza Gajcego – dowodzą istotnego niezrozumienia tego poety przez jemu współczesnych, odbierania naówczas jego pisarstwa jedynie przez pryzmat romantycznych i modernistycznych reminiscencji”. Dalej zamieszcza Stabro duży fragment recenzji Karola Topornickiego (Tadeusza Gajcego) na dowód owego niezrozumienia i napastliwości.

Jak wiadomo dla potomnych odkrył i spopularyzował twórczość Baczyńskiego – Kazimierz Wyka. W konspiracyjnym „Miesięczniku Literackim” opublikował w czerwcu 1943 słynny *List do Jana Bugaja* (to okupacyjny pseudonim Baczyńskiego), cytowany później wielokrotnie przez samego autora (np. *Rzecz wyobraźni*, Warszawa 1959 i w kolejnych wydaniach) oraz prze-

drukowany i komentowany przez krytykę literacką. Pisał wykorzystując poetykę epistolarną:

„Zwłóczyłem z tym listem, ponieważ po wiele razy w ostatnich miesiącach powracałem do Pana *Wierszy wybranych*. Myślę o nich przede wszystkim, że aczkolwiek pisane i udostępniane w pełni zawieruchy wojennej, gdzie nie wiadomo, jak przebiegać będą granice humanistyczne, granice dążności literackich i pokoleń, te wiersze już nie przynależą do międzywojennego dwudziestolecia. Nie dlatego, że jest Pan debiutantem i że zaczął Pan pisać dopiero w ciągu wojny. Niejedno czytałem z tzw. debiutów po to jedynie by dostrzec, jak powtarzają się złe i zapóźnione echa tamtych lat. Jeszcze »czysta« awangarda w narodowym sosie”.

Już w tym fragmencie dostrzegamy walor podstawowy poezji Baczyńskiego, oryginalność. Wyka odkrył i nazwał tę cechę wprost, pisząc, że w poezji Baczyńskiego nie istnieje już opozycja: poezja tradycjonalistyczna, skamandrycka – poezja w duchu awangardy. „Pan zaczyna w całkiem innej szkole” – konstatuje Wyka. Pisze krytyk o patronach tej twórczości, to Słowacki, Norwid, Miłosz, Czechowicz. Więc jednak twórcy poetyki romantycznej i przedstawiciele awangardy, ściślej katastrofiści.

„Ażeby dobór tych właśnie patronów uzasadnić, nie będę od ich poezji kroczył ku Pana lirykom, lecz pozwolę sobie wejść wprost w meritum sprawy, pozwolę sobie nazwać pewne narzucające się cechy artystyczne tych liryk, a może wówczas moja propozycja imienna stanie się jawniejsza. W lirykach Pana współistnieją, to się przeplatają, to sąsiadują ze sobą w jednym złożone obrazie, to wreszcie dzielą między siebie całe utwory, dwie dążności, których w tym układzie nie spotykamy u żadnego z poetów dwudziestolecia: z jednej strony bardzo swobodna, kapryśna, ale całkowicie plastyczna i wizualna w i z y j n o ś ć, z drugiej – do skrótów myślowych, do kontrastów, niespodzianek znaczeniowych dążący intelektualizm”.

Kazimierz Wyka jeszcze raz powrócił do tych spostrzeżeń we wstępie do „pomnikowego” wydania *Utworów zebranych* Baczyńskiego, zarówno w pierwszym wydaniu z 1961 roku jak i we wznowieniu (przejrzanym i uzupełnionym w roku 1979). Kieruje nas już w pierwszych akapitach na trop interpretacji nawiązującej do najświetniejszych tradycji literatury polskiej, na podstawy filozofii oraz poezji romantycznej. Przypomina nieznanego szerzej artykuł Jerzego Zagórskiego, opublikowany zaraz po wojnie w „Tygodniku Powszechnym” (1947, nr 14/15) pod tytułem *Śmierć Słowackiego*. Nazwał tam znany onegdaj poeta, eseista i tłumacz, Krzysztofa Baczyńskiego największą poetyką indywidualnością tworzącą u nas od czasów Juliusza Słowackiego, pisząc między innymi, że obydwaj „nawet polotnym szelestem swego zdania, nawet ognistym nurtem swej mowy” mają coś wspólnego.

Wybitny twórca kręgu wileńskiej awangardy, porównuje też biografie obu poetów:

„Podobnie jak Juliusz Słowacki, tak i Krzysztof Baczyński miał ojca humanistę, ojca literata, doskonałego krytyka – Stanisława Baczyńskiego, którego miał przerosnąć siłą talentu, podobnie jak Juliusz Euzebiusza. Tak na świecie wiosną nowa gałązka strzela wyżej od poprzednich o całą kondygnację. Po ojcu wszakże pozostało Krzysztofowi dziedzictwo żołnierskie, którym nie był obciążony Juliusz. Równie jak Juliusz Słowacki, tak i Krzysztof Baczyński miał matkę, która kochała nad wszystko poezję. Dla takich matek syna przeżyć – to jest krzywda, z jaką chyba nic na tym świecie nie da się porównać. To już nie są łzy, które padają na rękopis, to już jest szloch, który może być przygaszony chyba tylko przez jedno: wiarę w życie pozagrobowe. Ale i tu na ziemi pozostaje przed matką zadanie to samo, które stoi przed przyjaciółmi, aby to, co po poecie pozostało, przekazano w godnych, godnie i pięknie wydanych książkach”.

Zagórski, współtwórca wileńskiej grupy „Żagary”, poeta pisujący w okresie międzywojennym w duchu poezji neoklasycystycznej i – później – katastroficznej, był nie tylko biologicznym rówieśnikiem Baczyńskiego. Jak niewiele rozumiał jego poezję, w lot wychwytyjąc nie tylko wątki profetyczne tej twórczości, ale też wyjątkowe i nieprzemijające wartości humanistyczne jego twórczości. W artykule utrzymanym w na wskroś prywatnym tonie pisał podobnie jak Kazimierz Wyka o swoim osobistym spostrzeżeniu. Uderzyło go zdumiewające podobieństwo Baczyńskiego do znanych portretów Słowackiego. To metafizyczne niemal spostrzeżenie, wieloznaczne i wielowymiarowe, skierowało poetę na myśl porównania dorobku poety przedwcześnie tracącego życie w początkach Powstania Warszawskiego. W sprawie podobieństwa fizjonomii pisał Zagórski:

„Nie było to podobieństwo w ścisłym znaczeniu, raczej jakiś bardzo wyraźny, wspólny antropologiczny rys. Może to nie było z mojej strony złudzenie. Rodzina Baczyńskich wywodzi się z Wołynia, z tego samego Wołynia, z którego padł na głębę polskiej poezji wspaniały owoc Słowackiego”.

Najpełniej wątki kontynuacji tradycji romantycznej podkreśla Bernadetta Kuczera-Chachulska konstatując, że twórczość Baczyńskiego spełnia projekt polskiego romantyzmu, dopełnia go, ale chyba nie kończy. „To, że poeta wypełnił do końca obowiązek względem wspólnoty narodowej – wiadomo; że poczucie konsekwentnej odpowiedzialności doprowadziło w tym przypadku do najmocniejszej i prawdziwie tragicznej jakości lirycznej wypowiedzi, wiadomo również. Wszechobecny konflikt powinności zabijania, z dogłębną pojętą miłością bliźniego – wroga, spowodował przekroczenie progu rzeczywistości chrześcijańskiej realizacji egzystencji, dystansując

romantyczną niemożność opuszczenia zaklętego kręgu nienawiści do nieprzyjaciela”. Dalej autorka wstępu do tomu wierszy zatytułowanego: „*ale ty jesteś drzewo*”, tytułu zaczerpniętego z motta Rainera Marii Rilke do wiersza o incipicie „W każdej przemianie podobna kręgowi czasu...” śledzi kolejne wątki romantyczne w twórczości Baczyńskiego. Trop wiedzie do Cypriana Kamila Norwida, nie tylko z powodów metafizycznych.

Niektórzy komentatorzy podawali, jako naturalne zjawisko, współistnienie języka poetyckiego obu artystów słowa, wzmocnione u Baczyńskiego drugim imieniem Kamil. Profesor B. Kuczera-Chachulska wprost dowodzi związków liryki K. Kamila Baczyńskiego z *Promethidionem* Cypriana Kamila Norwida konkludując, że kontekstów liryki naszego romantyka dwudziestowiecznego szukać należy jeszcze więcej. „Interesujące, że skupiają się w niej i urzeczywistniają z dużą intensywnością najważniejsze w różnych czasach i dla różnych ludzi sensy” – pisze. Poszukuje badaczka owych kontekstów od Biblii, poprzez Kochanowskiego, Morsztyna, Karpińskiego, po Słowackiego i właśnie Norwida. Warto zerknąć na utwory Baczyńskiego posiadające wyraźne nawiązania do twórczości naszych wieszczów, wiersze opatrzone mottami: *Bohater* (z Norwida), czy *Jesień 41* (ze Słowackiego).

Poezja Krzysztofa Kamila Baczyńskiego ma więc proveniencje romantyczne, ale tworzona w ponurych czasach posiada czasami wątki katastroficzne. Jest też wizyjna (by nie rzec profetyczna) i pełna intelektualnych odniesień.

Tadeusz Skoczek

I

Ballada o wisielcach

I

Kołyszymy się, kołyszymy,
wmurowani w pejzaż szubienic.
Wieje śmiercią znużoną. Jak kruk
krąży niebo drapieźnie i cicho
dzwoni wiatr o ostrogi nóg.
Nocy inna, nie przyjdiesz, nie przychodź.
Tylko dni obdrapany mur
kończy ziemię wyrwaną krokom.
Zaciśnięty wilgocią sznur —
żalu lament skowyczy nad drogą.
Jak upiory żerujemy na snach,
jak upiory wypijamy życie.
Nocą księżyc podchodził jak znak
i jak oko wisielca z chmur wyciekł.
Kołyszymy się, kołyszymy,
wmurowani w pejzaż szubienic,
pośród zdarzeń, zygzaków i gwiazd,
z długich rąk wyrzucamy cienie —
pętle palców na martwy sen miast.
Wmurowani w pejzaż szubienic.

II

Ci sami
w schodów dysonans wchodzimy co wieczór,
do tych samych mieszkań, gdzie martwa żarówka ćmi,
budzimy się jesienią, zawsze jesienią,
oczy zawsze — w czarny wyrok drzwi.
Potem w długie ulice, od mgły
gęstniejące w realny opór.
W nasze głowy — drzewa jesienne,
słońce spada zachodem jak topór.
Potem dalej, potem dalej, potem dalej,
w noc bezgwiezdną, w puste ręce łapać oddech,
w korowody zaplątanych alej,
w gwiazdy czarne i jak niebo — chłodne.
Potem dalej, potem dalej, potem dalej,
zawikłani w wodorosty zjaw i cieni,
obudzimy się kołysząc, znów kołysząc,
wmurowani w pejzaż szubienic.

IX m. 1940 r.

Ballada o szczurach

Tadeuszowi Sołtanowi

I

Jaki archanioł trąbą ten czas przyzywał
nawołując przez długi wirydarz tęsknot?
Ciemny kościół gotycki niosłem na ramionach,
aż: wśród kantyczek surowych osiadłem i męsko
wparłem się w czas ubiegły jak w czarne strzemiona.
Żyłem wśród katafalków i szczerbatych blanek,
w wiolinach kryz wionących o wdzięku motylim.
Pamiętam w niebo świtu wmurowany zamek
świec woskowych
i w złotym pyle
rycerzy dudniących przez most zwodzony ciszy dębowej.
Żyłem — martwy burgrabia, marionetka epok,
zamurowany w czas smutny jak trumna małego dziecka,
a po salach szerokich, po lęku wieloznacznym jak niebo
kołowała z głuchym dzwonkiem woskowa owieczka.

II

W noc jesienną, gdy niebo nierzeczywiste
odbija puste kroki i dymi lękiem,
szły szczury szeregami, gwardie obcych istnień,
śpiewały słodkie, śmiertelne piosenki.
Bliżej: przez śpiewne mosty zwodzone.
Bliżej: przez czarne akordy bramy.
Bliżej: przez wieże mosiężnych dzwonów
szły szeregami, szły szare klany.
Biało trwogę sączył nagły księżyc,
a od alej wiało chłodem liści,
gdy sznur drogi ucieczkę wyprężył
przez sale puste ostatni wyścig.
Schody kręte harmonią odbiegały w dół,
biły zegary struchlałe ze wszystkich wież naraz.
Tupot nóg, tupot nóg, szelest nóg —
ostatni alarm.
Długie wieże, coraz wyżej długie wieże.
Widziałem konanie straszniejsze niż śmierć dzieci.
Ostatnia baszta zamyka biały, nieludzki krzyk,
ostatni wśród nocy krzyk zamknęły mury.
Nie byłem aniołem — bez skrzydeł kto uleci?
Serce moje na wieży najwyższej pożarły szczury.

X m. 1940 r.

Ballada o bezrobotnym strachu

Kiedy syci jak bąki brzęcząc odpływają na snach,
a łóżka kipiące pościelą wpływają na wieczorne niebo,
wzdłuż ulic chodzi głodny, bezrobotny strach
kładąc przy drodze głowy zabitych kamratów
jak czarne bochny chleba.
Za oknami urasta szum drzew ścinanych deszczem,
a ulice wolno do rzeki spływają.
Nie chodź, strachu, dni ubiegłych pieścić,
bo oto noc ostatnia — kulawa kica przez gwiazdy jak zając,
bo oto głód, a syci odpływają na snach.
Trzeźwość gasi lęk. Boją się tylko głodni i poeci
i czasem tylko w niespokojnych łzach
wywołują cię w lustrze małe, trwożne dzieci.
Widziałem dziś wieczorem:
wiatr kominy wydłużał w błękitne flety,
widziałem dziś wieczorem: wychodził z zaułka strach
na palcach z białego wosku, pod oknem umarłej kobiety
długie serenady grał.
Potem za palcem ogłuchłym echo przygwoździł, dogonił
i przez żałobne firanki szyb widziałem, gdy długo
bił w martwą twarz księżycą wielką dłonią
jak płaską, hebanową maczugą.
Syci odpływają. W ten wieczór funebrycznie wydepty
wszystkie spojrzenia przeklęte,
nie ma oczu dzieci.
Widziałem dziś wieczorem: w kanałach miejskich,
gdzie topielcze koty o wyblakłej sierści,
rękami czarnymi jak smutek
szukał własnej śmierci.

29. IX. 40 r.

Ballada o pociągu

I

Na małych, nieznanych stacjach
są pociągi martwe i puste,
gdzie cień dróżnika wypadł z czasu i usnął
w żółtych, dworcowych akacjach.
Czas zatrzymany przeciągle dyszy.
Te stacje są w Singapur, pod Warszawą i w Miami
i prowadzą je zawsze w szarym bezruchu ci sami
maszyniści umarli od trwogi i ciszy.

II

Czekam na dworcach samotnych i pustych
licząc gasnące żarówki gwiazd.
Chodzę powoli, stoję przed lustrem
obcych, szerniałych pejzaży miast.
Jest coraz dalej, mży sufit echa,
w takcie wagonów upływa las.
Już za daleko smutek przejechał
w noce gwiaździste, noce bez gwiazd.
Obce pejzaże są jak pocztówki,
zwierzęta wycięte są tylko z atlasów.
Już wyminąłem jasne i ciemne
widoki wszystkich epok i czasów.

III

Jadąc przez wieki umarłem już tyle lat temu
i fantom twarzy wkleiłem w lustra okien.
Mijam tekturowych dróźników, głębokie
dworce bezruchu w ciszy, której nie można przemóc.
A ty czekasz, płaczesz, nie uradzisz
nocy podróźnej, ciężaru ostatniej stacji jawy.
Mój pociąg nadjedzie ze wszystkich stron naraz,
sypiąc zamiast dymu
liście czarne i krwawe.
Mój pociąg przywiezie ciężar wszystkich pejzaży,
mój pociąg jak smok zawadzi o noc pękniętą piersią
i z miliona okien spojrzy na ciebie moją twarzą
wyblakłą podróźą i śmiercią.
Nie znajdę pieśni wydumawszy cię najstraszniej i najpiękniej,
będziesz stać jak serce mego bólu samotna i bosa,
gdy pociąg ślepy uderzy o koniec toru — pęknie
i ze strasznym gwizdem wstąpi w rozdarte niebios.

6.X.40 r.

Śmierć samotna

Oto miasto zdarzeń wojskowych, gdzie martwe widma jaskółek
zostawiły w powietrzu parabole lotów.
W pobojowisku nocy jak pięści czarnej kułak
przechodzę przez obozy śmiertelnych namiotów.
Gdzie sen jaskółczy umarł przylepiony do chmur?
gdzie moja trwoga strącona, w jakich ulic przepaście?
Dzień jak orzech twardy trzymają kamienne lwy,
lwy z pomników, w otwartej paszczy.
Nie znam ciebie. Wysoko upływasz jak orion.
Groza wieje z przedmiotów w trupim świetle gwiazd.
Ucieka duszna rzeka, gwiazd porywa grom ją,
a przestrzeń mnie odbarwia boleśnie jak gaz.
Wracam w zaułek zimowy, co mi do nóg przywarł,
gdzie wiatr wieje na przestrzał przez oczy i pierś.
Nie wódź mnie, panie, dalej — tam się noc urywa
i od brudnych kanałów dmie samotna śmierć.

XII.1940 r.

Lasem

Chodzę lasem, zostawiam nie ślady, lecz tropy
i sapię w wąskiej norze oddechem włośchatym.
Czy to prawda, że żyłem rybą przed potopem
i że jestem dziś wilkiem kochającym kwiaty?
Jakże płyną te sosny? sierść ma zapach ostry.
Patrzę wam prosto w oczy, a krok mój jest wiekiem.
Gdzie las się kończy nagle fioletowym ostem —
— myśliwy z psem, który też był kiedyś człowiekiem.

listopad 40 r.

Zła kołysanka

Jesiennych liści, twoich włosów zapach,
brzęczy trwogi pęknięty zegar.
Od gwiazd wieje chłód, zagaśł świecznik lata
i mój żal
czarnym psem co wieczór do rąk ci przybiega.

Czy umiesz zasnąć? Płacz umarłej olchy
długo wyje po nocy — kopule echa.
Płyniemy, nie ma portów, nie ma dla nas kolchid,
wiesz: smutek — zaczajony patrol — tylko czeka.
Dobry smok w bajce, teraz jest sen zastygły,
sen upiorów — upływa nocy pomnik niebosiężny.
Tylko krzyk widma, które chłop nabił na widły,
tylko krzyk kotów duszonych przez księżyc.
Czy umiesz zasnąć? Dziś obłąkany poeta
powiesił się w czarnym krzyku zamiejskich sosen,
a trupa kukły woskowej przy wiatru fletach
deszcz po ulicach długo ciągnął za włosy.

Śpij,
przecież cicho.
Noc urasta deszczowa na szybach
i wiatr ślepy jak ja przed domem przyklęka.
Kto nam ten czas wolny od trwogi wydarł —
maleńka?

10/11 wrzesień, noc, 40 r.

Piosenka

Upływa lęku biały jeleń
w motylim płasie nóg.
Kołuje wiatr i dmie jak strzelec
w wydęty chmury róg.
Pieśń dymi czarna. Duszny księżyc
obcina bliski klon
i noc o okna struny pręży,
gdy deszczu szorstki bąk.
To jesień Anno, Anno, wybaw
od jawy i od snu.
Odchodzą drzewa, deszcz na szybach
i krąży echa huk.
O, zostaw szary echa niewód,
gdy w ukos nieba płynie Bóg.
To jesień Anno, Anno, niebo
pęka. Napina orion łuk.
To jęczy w nieba wbity pałak,
złamany wiatru maszt,
to, Anno, serca trzask jak gałąź
pod gwiazdą, którą znasz.
Odpływam dziś, marynarz czasu,
pokładem spopielających drzew.
Gazele snu na oczy nasuń,
gdy jesień ziewa — płowy lew.
O, Anno, wybaw, biały jeleń —
upływa trwoga w płasie nóg.
Kołuje wiatr i dmie jak strzelec
w wydęty chmury róg.

12 wrzesień 40 r.

Inny erotyk

Nie wierzę w twoje oczy, jak się nie wierzy w niebo.
Wilgotne chmury. Jak co dzień wracam z własnego pogrzebu.
Małe psy biegną naprzeciw jak nieme zwierzenia wieczoru.
Przepływam na ukos ulic, na ukos godzinom i porom.
Jakie to ptaki doleczą? Przestrzeń pęknięta na pół.
Jaki to murarz rozklei wzniesiony przez siebie mur?
Kto przeciw śmierci stanie i wzrokiem zatrzyma prąd ten?
Rzucam na siebie gwiazdę jak naraz modlitwę i klątwę.
Listy pieczęcie na trosce. Nie wierz tym słowom, nie wierz.
Oto umarły dziś rano, nie spotkam cię w czarnym niebie.

grudzień 40 r.

Idylla kryształowa

Mały pastuszek tnie gałązki lip,
a gałązki są śpiewne jak flety,
są ptakami, przywierają do szyb
jak do oczu płaczącej kobiety.
Siano prześnione jest widmem i drży
w zielonej rosie wiolin.
To sny, ukochana z idylli, to sny.
W snach flet jak serce boli.
Mały pastuszek prowadzi stado
błękitnych smoków przez ugór z kryształu,
a smoki smutnie nad lasem się kładą
i w kołysanki układają ciało.
Potem do źródeł, gdzie gwiazdy jak jaskry
świt porastają cieniutko jak len.
Tam dogasają w wodopój jasny
oczy pastuszka i smoków sen.
Wtedy na flecie długim jak wiatr
pastuszek białą łanię wabi
w sen delikatny i wąły jak kwiat,
w sen wracający łzami.
Jak z drzwi otwartych — z świergotu cykad
przychodzi cień jak cień pochodni,
spełniony łanią czeka i wdycha
trującą, lipową melodię.
A nici wiolin wokoło zaciska
flet przemieniony w trzepot motyli,
niebo jak bańka napięta pryska,
pryska przejrzysta łania idylli.
Wtedy pastuszek gna smutne smoki
na krawędź nieba i długo wabi
swą śmierć samotną z czarnych obłoków
w sen wracający łzami.

dn. 29.I. 41 r.

Zwierciadło

Unosisz to wszystko. Gdzie ponad chmury uniesiesz?
jak abecadło dzień narodzin powtarzasz wielokroć.
Na drodze śliskie wikliny, domki szare, jest mokro,
czy to zima, lato, jesień.
Tyle wieków, a nie wyrosłeś
ponad spojrzenie małe, nie mniejsze niż płacz i uśmiech.
Nie ten to czas, kiedyś był do jaskółek posłem —
to tylko oddech czasu: zbudzisz się, uśniesz, uśniesz.

Wyjdź, wyjdź pod niebo, wyjdź pod białą zamieć,
zanim wrócisz w grób kamiennych miast.
Tam ty:
papierowy żołnierz,
czekasz na urojony wystrzał
stojąc w nieustannej ulewie gwiazd.

II.41 r.

Harmonia Beethovena

Najpierw konie żałobne piętrzyły się do chmur
unosząc przyłbice miast i gwiazd zielone struny,
zastygając w pomnik ukośny, w pochylony szturm,
aż krzyczało zewsząd, że runą.

Grzmiał wiatr, a posągi miały twarze obcych,
coraz więcej ich było: cesarów, poetów, burłaków,
gdy nagle przemienione w płowowłosych chłopców
szły przez noc zamyślonych ptaków.

Jeszcze katedry groźnej fugi,
gdzie z dzwonu słońca zwisał sznur do ziemi
jak spokój długi.

Jeszcze szedł olbrzym przez niebotyczną drogę,
nad łagodny polot wsi,
niosąc w ręce ogromnej błękitny ogień.

Obudzony: jakże uwierzysz, żeś śnił?

16 maj 41 r.

Ci ludzie

Głowa przy głowie — taki to mur?
Twarze jak orzech twardych czaszek.
Pięści spęczniałe jak garby gór —
— nasze.

Mocno się ściska drzewiec w dłoni,
palce zamknięte na klucz od śmierci,
przez rozwalone na oścież piersi
stada czerwonych w biegu koni.
I kroków stuk jak łopat stuk,
w czarne szeregi znużonych masek
napiętnowane krzyżami dróg:
nasze? nie nasze? nasze? nie nasze?

W obłoki jakże nam daleko,
po ziemi jakże jałowo.
Dokąd płyniesz, wesoła rzeko
z obcięłą głową?
Dłoń nie na sztandarze ściśnięta,
na otchłani huczącej grozą.
Malowana piosenka herosów,
gdzie ty?

Maszerują kompanie martwe
po rozciętych węzłach losu:
same hełmy i czarne bagnety.
Nie trzep rękami, braciszku,
nie wyzwolisz, nie wydrzesz z ognia krętych trąb!
Nie wyciągaj tak dłoni przed siebie,
to śmierć przyrosła do rąk,
jakby trumna przyrosła na niebie.
W dróg poszarpanych linach
motyw jak zasiek się rwie:
nasze, nie nasze, nasze, nie nasze.
To coś przypomina... Już wiem:
pęknięte serca skrzypiec.

lipiec 41 r., W-wa

Teologia

To ty ciosami piorunów huczałeś
w kowadła zdrętwiałych żrenic,
że czaszki dla lęku były za małe,
a serca za wielkie dla ziemi.

To ty ciskałeś z dłoni jak orkan
kule ogniste na krągły strop,
a w drogi ludzkie sny i ruiny
dymiące jak twój świeży trop.

I zastygałeś w pogromów zgiełk
pośród wędrówek głuchych pokoleń,
aż osaczony lufami szkieł
stanąłeś kroplą wody na stole.

Czymże ty jesteś, gdy w świetle przygasł
ogień zodiaków sypanych z góry,
a natarczywy ciągle napływasz
w szkiełka — tętniącym jądrem komórek?

październik [41 r.]

Elegia

Mokre gałęzie świerków
przywalą pierś woskową.
Przechodzili, przechodzili, nieśli
za oknami piosenki wojskowe.

Zegar wgarnął wspomnienie
i górą czasu skamieniał.
Przechodzili za oknem, płakali;
po grudzie dzwoniły cienie.

A teraz jakże ująć
strzaskane snów kryształki?
Noc w oczach stygnie — chmurą.
Piorun — w twój gromnik z zapalaki.

Jeśli testament — to z liści,
a pomnik jeśli — z płomienia.

Szli w dymu smukłej pieśni,
gałęzie mokre nieśli.

15.XI.41 r.

Rzeczy niepokój

Basi

Nie wiem nic. Jest wkoło ten rzeczy niepokój,
który rzeki przesyca i morza obłoków,
który jest sam przez siebie, a ja ponad którym
jestem jak smutne dziecko przenoszące góry.

I nie wiesz nic, i możesz ręce jeszcze
zanurzyć w płynność rzeczy i rzeczy niepokój.
Bo jest w tym jak w tworzeniu z marmuru drzew żywych
(które się same ciosają pod ręką)
coś jak nieuchwycenie w locie złotej grzywy,
jak opadanie — smutne i jak ziemia — piękne.
Jak ziemia, bo ta w trwodze najdalszej wywoła
— i w grobach — jakąś smukłość anielską kościoła.
Więc idź, chociażbyś wiedział, że zmierzasz do grobu,
bo nie w tobie jest trwoga, ale ty przez trwogę.
Bo to nie żądzą wzrasta, ale zapatrzeniem,
jak wierzby, które rosną w wodzie, rosną — cieniem.

Wtedy ziemia się skurczy, aż za wąska stopom
będzie chmura — na przekór arkom i potopom.

Tylko ludzie znad trawy — jak krowy — spojrzenie
zwróć w niepokój rzeczy, w to, co zapatrzenie,
i przez swoją osobność, w to, co gromem śniło,
powiedzą nierozważnie i osobno: miłość.

dn. 12.XII.41 r.

Dzień sądu

Każdy dzień jest dniem sądu bez kary,
jak w niepamięć idące pożary
niewidzialny — na ziemi — nisko,
niechwytyany — przepala wszystko.
Chociaż dzwonią owoce w uśmiechach
i świątynie wzrastają na grzechach,
choć młodzież wytryska i starość,
każdy dzień jest dniem sądu bez kary.
A kto nagle na mchach zobaczy
jakieś tropy jak łuny rozpaczy
i w marmurze czy ptaku rozpozna,
że stanęła ziemia nieostrożna,
zadrży prochem, zadymi pożarem,
w nim zobaczy dzień sądu bez kary.

grudzień 41 r.

Pioseneczka

Kto mi odda moje zapatwienie
i mój cień, co za tobą odszedł?
Ach, te dni jak zwierzęta mrużąc,
jak rośliny są — coraz młodsze.

I niedługo już — tacy maleńcy,
na łupinie z orzecha stojąc,
popłyniemy porom na opak
jak na przekór wodnym słojom.

Czerwień krwi dziecinnie się wyśni
jako wzdęte policzki wiśni.

Metal burz się wywiedzie na nowo
zapienioną dmuchawca głową.

A łez grzmot jak lawina kamieni
w małe żuki zielone się zmieni

i tak w wodę się chyląc na przemian
popłyniemy nieostrożnie w zapomnienie,
tylko płakać będą na ziemi
zostawione przez nas nasze cienie.

16.I.42 r.

*

*

*

Nie znam tych słów, o które świat się oparł,
stoi mi murem dzień, a martwa stopa
tak się po ziemi ciągnie i odciska
ślady, w których jest razem krew i krwi kołyska,
którą jest ciało. Ciało gdzie mnie nosi,
nie znam tych dróg. Czyżbym ja jeszcze prosił
przed tym sklepieniem kościołów, na których
jednym słowem początku ustawiono góry —
— ludów, co zawsze w kręgach wirując z planetą
nie wiedzą, co jest głód, co sytość? Nie to
i nie tak się wyroi z nich, co w chmurze grało,
i przejdzie głos ich w przestrzeń jak do ziemi ciało.
Czyżbym ja z nimi klęczał u niebiosów,
co tylko nocny lęk i trwoga gromów głosu,
gdzie koronkowi anieli skrzydłami
są jak obłoki przemienione w kamień?
Nie wyrzeźbione są te nienazwania
i nie mnie rzeźbić je w ten czas czekania.
Czyżbym ja spalał głos, by złoto iskier samo
spadało mi przez oczy ptaków gamą
i żeby z nich zasłonę blasku czynić
i jak pożogi burz — je potem winić?
Albo ja wołam to — co nigdy moim,
co ciała snem lub ciała niepokojem.

A prawdę gromów Bogiem zasłaniając
omijam tych, co życia w nich czekają.
Albo w pogardzie tak rosnę i stanę
czasem za proch, a sobie sam za ranę,
i tak nazywam to, co mi zostanie
przez całą wieczność grobem i czekaniem.
I nic mi już, bo mnie i tak spopieli
ciała niepokój, a miną weseli,
i nie odgadną po węglach i prochach,
żem był czekaniem Boga i żem kochał,
żem się tak spalał wiary pokuszeniem,
a tak człowiekiem spłonął, że nie został cieniem.

styczeń 1942 r.

Wolność

Przebudź się — jesteś wolny,
choćbyś jak w ziemi duch
szedł dołem dookolny,
przebudź się, jesteś wolny,
zbudź tylko słuch.

Otworzysz bramy gwarne
i łuki triumfalne
muzyki, która w chmury
trwa dymami pożarów
z dołu do góry.

Otwórz oczy, to jesteś
tryskającym powietrzem
zdrój żywy.
Żeś przez ciało przykuty
i żeś ciała upływem,
żyj w wietrze.

Albo cheruba nazwij
i uczynić mocom nazwy,
i uczynić z niedojrzanych
wrzące sokiemy obrazy,
i rzeknij: „Niech się stanę
w nich”, albo: „Niech się staną”.
Wtedyś lękom wygnany,
burzom cichym przyjaciel
w snów srebrnym majestacie.

A jeśli nie uwierzysz,
żeś wolny, bo cię skuto,
będziesz się krokiem mierzył
i będziesz ludzkie dłuto,
i będziesz w dłoń ujęty
przez czas, przez czas — przeklęty.

Bo w tym, co w nim przystają,
otworzy chwilę, zgasi
i nim sen rozpoznają,
i nim opłaczą ciało,
przykuci martwą chwałą,
miną; zostanie wolny,
tworzeniem dookolny.

marzec 42 r.

Historia

Arkebuzy dymiące jeszcze widzę,
jakby to wczoraj u głowic lont spłonął
i kanonier jeszcze rękę trzymał,
gdzie dziś wyrasta liść zielony.
W błękicie powietrza jeszcze te miejsca puste,
gdzie brak dłoni i rapierów śpiewu,
gdzie teraz dzbany wrzące jak usta
pełne, kipiące od gniewu.
Ach, pułki kolorowe, kity u czaka,
pożegnania wiotkie jak motyl świtu
i rzęs trzepot, śpiew ptaka,
pożegnalnego ptaka w ogrodzie.
Nie to, że marzyć, bo marzyć krew,
to krew ta sama spod kity czy hełmu.
Czas tylko tak warczy jak lew
przeciągając obłoków wełną.

Płacz, matko, kochanko, przebacz,
bo nie anioł, nie anioł prowadzi.
Wy te same drżące u nieba,
wy te same róże sadzić jak głos
na grobach przyjdziecie i dłonią
odgarniecie wspomnienia i liście, jak włos
siwiejący na płytach płaskich.
Idą, idą pochody, dokąd idą,
których prowadzi jak wygnańców łaski
ład krążący po niebie. A może
niebo po łądzie dmące piaskiem
tak kształt ich zasypuje. Jak noże
giną w chleb pogrążone — tak oni
z wolna spływają. Piach ich pokrywa.

Jeszcze słyszać śpiew i rżenie koni.

dn. 8.III.42 r.

Młodość

Tak odgarniamy te lata, a one
jak łodyżki strzelające pod grad.
W żółtym blasku jeszcze zielona
dłoń się pręży jak kwiat.

Ach, jak w pędzie na rumaku, co szumi,
takie rumaki są — jak ulew maszt.
Jeszcze słowa, które się rozumie:
spełnia się pierwszy raz.

Jeszcze ciało i Bóg coraz nowy,
i duchów głos u ciężkich powiek,
i rzeki, gdzie jak fale — głowy
i gdzie umiera człowiek.

To, co poznane, cierpki owoc,
co w siwy porost zmienia wzrok,
co w kamień zmienia. Marmurowe
obłoki kładzie w noc.

I to, co zbrodnią jest, jak wbity
na szpilkę rudy chrząszcz,
co stygnie w bólu i granitem
zostaje w śnie jak głos.

I to, co miłość: trawa rwana
garścią, aż tryśnie żywy sok,
martwieje jeszcze nie doznana,
przyrosła krwią do obcych rąk.

I nim się kształt ustoi pełny
formą choć w krzywdzie — piękną,
płomieniem w domy, na twarz hełmem
cień runie, aż kolumny pękną.

I nim uniesiesz, nim ustoisz,
będziesz jak dziecko, co się boi,
rozpoznający kształt.

I już się staniesz. Przebudzony
drzewem w zmięchanie nachylonym,
u martwych siniejący skał.

marzec 42 r.

Źródło

Basi

Unieś głowę jak źródło,
z niej powstanie kolor
i nazwanie wszechrzeczy,
i płynienie porom.

Widzisz, wszystko spełnione,
czas po brzeg nalany
i niebo syte żaru
jak złote fontanny.

A wszystko możesz spełnić
od nowa i począć
widowiska w obłokach
tryskające oczom.

I wszystko, co przypominisz,
będzie jak czas głuchy,
nad którym jak nad ciałem
zawirujesz duchem.

Bo kochać znaczy tworzyć,
poczynąć w barwie burzy
rzeźbę gwiazdy i ptaka
w łun czerwonych marmurze.

marzec 1942 r.

U niebios rozkwitających

Młody dąb jak woda w górę
tryska. Ptaków jasne koła.
Dotykalna dłoń anioła
dzieli chmurę.

Wąski strumień, wąż roślinny,
ziemię jeszcze raz obejmie,
czas jak obraz z nieba zdejmie,
taki płynny.

Dzbany mleka — ciała żywe
jakże krzepko łączy w owoc
strop wysoki ponad głową,
chóry lasów tkliwe.

Dana ci ta glina giętka,
oczy z ognia i rozumne
i jak pług dzieląca ręka;
posąg szynisz nią czy trumnę?

W blasku cały postawiony,
nim rozróżnisz blask wszechrzeczy,
z mdłego ciała cię uleczy
nienawistny, przesądzony.

A mieć ciało, duszę jako
słup żelaza — to nie znaczy
przejść jak po szkle — po rozpaczy,
ale niebo unieść ptakom,

ale dom unosić w górę:
mrówczy dom i ludzki kościół,
nazwać wreszcie czas miłością,
dosiąść chmurę.

Wtedyś ziemi pobratany,
kiedy trud największy wzniesiesz,
gdy choć jedno drzewo w lesie
nie odcięte, zbudowane.

Jakąż w ptaków czas, na gody
szatę włożyć? może z gwiazdy?
jakiż uśmiech, a przyjazny?
czapkę chyba z drzew i wody?

A my mali tacy, dumni
u tych niebios pełnych liści,
u tych świateł. W nienawiści
na cokole smutnej trumny.

A my tacy we krwi cali,
wciąż bez wstydu — boskie dzieci.
O, niech anioł nie uleci,
nimśmy jeszcze tacy mali.

dn. 30.V.42 r.

Ten czas

Miła moja, kochana. Taki to mroczny czas.
Ciemna noc, tak już dawno ciemna noc, a bez gwiazd,
po której drzew upiory wydarte ziemi — drżą.
Smutne nieba nad nami jak krzyż złamanych rąk.
Głowy dudnią po ziemi, noce schodzą do dnia,
dni do nocy odchodzą, nie łodzie — trumny rodzą,
w świat grobami odchodzą, odchodzi czas we snach.

A serca — tak ich mało, a usta — tyle ich.
My sami — tacy mali, krok jeszcze — przejdziem w mit.
My sami — takie chmurki u skrzyżowania dróg,
gdzie armaty stuleci i krzyż, a na nim Bóg.
Te sznury, czy z szubienic? długie, na końcu dzwon —
to chyba dzwon przestrzeni. I taka słabość rąk.
I ulatuje — słyszę — ta moc jak piasek w szkle
zegarów starodawnych. Budzimy się we śnie
bez głosu i bez mocy i słyhać, dudni sznur
okutych maszyn burzy. Niebo krwawe, do róży
podobne — leży na nas jak pokolenia gór.
I płynie mrok. Jest cisza. Łamanych czaszek trzask;
i wiatr zahuczy czasem, i wiek przywali głazem.
Nie stanie naszych serc. Taki to mroczny czas.

10 wrzesień 1942 r.

Znowu jesień

A oto już i jesień. Ptaki są jak dłonie,
jak dłonie pożegnalne nieba dla złej ziemi.
Płaczymy czasu, ach, płaczmy z sercami żywymi,
smutni tacy, samotni, nie nazwani dniem.

Już nam pokazał Bóg czy szatan krwawe miasta,
w których jeno się dymy z wolna unosiły
jak umęczony anioł nad kolebką śmierci.

Już nam ten nóż przytknięty aż do serca wrastał,
tak długo trwał przy piersi, a gruzy mówiły
i każde drzewo martwe wraz z nimi śpiewało:
„Otoć się w proch obracasz, nieobaczne ciało”.

Jestże coś ponad ciemność? — pytaliśmy płacząc,
gdy spośród stolic martwych nikt nie wyszedł do nas,
i staliśmy w ciemności, gdzie się nie napotka
dłoń z dłonią, a wzrok bliźni widać tylko w gromach.

I tylko dudnił wiatr przez ulic puste groby,
i śnieżyce powoli nakrywały głązy,
i byliśmy jak mroczne, niewierne wyrazy,
gdy świat opadał z powiek jak gwiazda czy łąza.

Jak poznać ziemię głuchą? jak nazwać te łądy,
gdzie dzieci konające są jak starcy we śnie
i już nie znają słów, nim je pojęły jeszcze,
i kraje, gdzie się nigdy nie usłyszy mowy,
a dłonie, każde dłonie, są jak mroźne kleszcze?

A oto już i jesień. Drzewa są na nowo
żaglami martwym domom, skrzydłami martwym snom,
jakby nie powstawały nad rozrąbaną głową,
jakby nie było kolumn roztratowanych rąk.

I człowiek idzie obok, ach, chyba już nie człowiek,
pień taki, wypalony, co znów zapomniał nieba,
i krzyczy, kiedy we śnie na poczerniałej słomie
przychodzą znów boleśni, milczący aniołowie.

12 wrzesień 1942 r.
Warszawa

Z wiatrem

Basi

Jesienie rok za rokiem idą,
gwiazdy jak deszcze szyby tną.
Zielone łanie na polanie,
u okien huczy serca bąk.

Nie płacz, kochana, lat złowrogich,
spod twoich rzęs zielony liść,
ptaki i drzewa trysną, drogi,
po których dalej trzeba iść.

Liście opadły. Wróć liście
i modlitewne łuki gór,
przejdą ludzie w nienawiści,
zostanie trzepot ptasich piór.

Knieje się pienia — tylko pomyśl —
w powietrza falującym tchu
niedźwiedzi pomruk zaczajony,
niebieski jezior duch.

Nie płacz, kochana. Śpij w cierpieniu,
na dłoni mojej drżący ptak,
rzekom i mnie, i wiosen ceniom,
i miłowaniu lat.

Przeminie łoskot burz gwiazdzistych,
nie stanie ludzkich burz.
Nam, śpiewającym pieśni czyste,
serce rozetnie czas jak nóż.

Bo już kolebią aniołowie,
imię — jak złote imię gwiazd,
próchnieje pod stopami czas,
zostaje wieniec chmur na głowie.

Bo już kolebią aniołowie
na niewidzialnych dłoni śnie
proste jak sosna, czyste dni
rosnące w ptasim słowie.

29 październik 1942 r.

II

Z „Pieśni pierwotnych”

I. Głód

Żółte pola. Suche jaszczurki-badyle na drodze,
a zwierzęta do źródeł, gdzie cień wilgotnych leszczyn.
Skrzypią koła pojazdów, gdzie czarne żebra ogrodzeń,
gdzie kołujący piach i suche drzewo trzeszczy.
Och, jaki brzuch niebieski — wydęty bęben zdarzeń,
a oczy czerwone gorączka podpala — polana.
Dni jak deski — to sucho, to twardo płonące w skwarze,
budynki jak biały pożar i wargi, i wiotkie kolana.
Wiotkie kolana do studni, tam żaba płaska jak dłoń,
tam ptaki z wypadłym pierzem i głowy dzieci-embrionów.
Podaj pochodnię, bracie — tam szkielet wyschnięty — koń
dymi. Siekierą rozedrzeć mięso spalone czerwono.

II. Łowy

Konie rzą. Ukośny badyl dymu to prośba w niebo.
Psy przed nami, za nami wioska kobiet łagodnych.
Szybować zielono. Morze — puszcza wymija jak podmuch,
jak podmuch idzie od dębu szczygłów szorstki szczebiot.
Pszczoły dzikie unoszą łupy zdobycznych wypraw.
Wyciągnąć ręce — konary — ramiona wrogich braci.
Na koniach przetniemy krzaki i potok, który przybrał.
Włóż na nas ręce, słońce — czerwony boże i kacie —
równy z karkiem obetniesz głowy. Już w dali szorstko
wzbiera sierść zwierza, co wypadł łamiąc kohorty wiklin.
Lepka jest krew na strzałach i pachnie wodą morską,
kiedy głód warczy — zabijać jest prosto, wesoło i zwykle.
Polany wiotkich cieni, tam dym rozcina nieboskłon
i pot rozcina czoło. Zapalmy fajkę wiśniową.
Szeleszczą świerszcze na świerkach, podchodzą kobiety i z troską
kładają nam ręce we włosy jak w lutnie znużonych łowów.

III. Śmierć

To słońce czerwone z rana spaliło moją tarczę
i łamiąc osty przed domem przechodzi widno ojca.
Po co lejecie воск? Na trwogę moją nie starczy
tych dymów. Dusi kadzidło, a czarny kruk przed bramą.
Nie odchodź ode mnie — straszniej
te dęby płyną wprost na mnie
i ciurkiem gwiazda północna spływa mi w prawe oko.
Drzwi otwarte dla strachów. Zamknij te wrota, zamknij.
To bocian ukradł mi ręce i schował w gnieździe głęboko.
Długa jest droga przez puszcę — dajcie krzemienny topór,
wśród wilków bóg mi ucieka, bóg uchodzący jak jeleń.
Dlaczego muszę samotnie przez las przerażeń? Jak sokół
wiruje księżyc
i gwiazdy — ćwieki lodowe na ciele.

listopad 1940 r.

Elegie zimowe

I

Umarli bogowie. Kościoły
ziewą jak puste trumny.
Śnieg — stratowane anioły.
Gdzie wracam — nierozumny?
Dyszy kadzidło. Dokąd
prowadzą ulice puste?
Nie zrówna echo krokom,
zgorzałe myśli — ustom.
Oto usłyszę z portyków
długie treny procesji —
czarne kolumny mnichów —
sen, co się nigdy nie śnił.
Twarze z trocin i wosku,
świece łkające od gwiazd.
Z jakich czasów te kukły,
do jakich prowadzą miast?
Starcy o oczach z ołowiu,
dziewczęta o włosach z ognia!
wiatr wiotko wami powiał,
gdzie stoję jak pochodnia.
Gdzie stoję jak pochodnia
przybity za włosy do komet,
wiejecie cieniście. Jak gromy
zastygłe w glinianych stągwiach.
Starcy mistycznych zdarzeń
zamarli w posągi gromnic,
kobiety w innym wymiarze
zamarłe w płaski pomnik —
skąd przychodzicie, dokąd
wiejecie przeze mnie śmiercią?

Jest ślepo. Śnieg nagrobki
zarasta kocią sierścią.

II

A więc odpływa pejzaż. Drzew przykute psy
łyskają kłami liści i kładą szorstkie głowy
na niebo z białych kamieni. Od dobrych i od złych
odchodzę wilk. Nie wzywa zielone echo dąbrowy.
Już ty nie przyjdiesz. Maszty, okręty głuchych polan
płyną do mórz południowych. A mnie do gwiazd
północnych.

Słysząc zgniecione trawy jak bąki u twych kolan.
Brzęczą mi drogi, szybują do konstelacji obcych.
Szybują konstelacje, mistyczne zodiaki. Przystaję —
wędrówka moja uchodzi o kiju wspomnień — ślepa.
Pod maską nieba — jak bożka z zapachu innych krain,
nad sępy wrogich obłoków, nad moją samotność, nad
przepaść.

III

Białe charty na śniegu kładą smutne pyski
węsząc zgubioną gwiazdę. W zmierzchu idą cienie
zbiegłe od swoich ludzi. Kroki złe i śliskie —
— stawiam kolumny świątyń zburzonych. Przestrzenie
łagodnie odbarwione szybują czy stoją,
kiedy krokami wieki odmierzam w pokoju.

Wróćcie mi dni dziecięce jak trąbę archanioła —
zbuduję wam okręt, który przewiezie na żywy brzeg!
Oto czekacie, pomniki — zdrewniali święci w kościołach.
Słyszycie: wołam przeszłości, zaklęty w smutek i śnieg.
Nie szukać tropów pieśni, głuchego czasu nie wołać,
gdy tylko gacek ech noc omotuje głęboką.

Spływają widma ptaków. Nie ma już wracać dokąd.

IV

Żegnaj, księżniczko jawy. W akwarelowe miasta
pędzi koń mój drewniany płosząc ptaki krzewów,
gdy ty w kamienny pejzaż jak biały posąg wrastasz,
gdzie moją dawną maską płacze nad tobą niebo.
Miasta dzwonek miedzianych! W pokojach waszych ulic
gwiazdy płyną, gospody, a w szyldzie czerwony kogut,
tam w winny sześcian kubka jak w ciszę się zatulić,
cień nieprawdziwych ludzi jak totem zawiesić nad trwogą.
Trzeszczy zbroja, czerwono mury odbija jak rzeka
i płynie ze mną wśród wróbla, wśród czarnych lotów kruków.
Z kołyski siodła wieczorem wysiądę i poczekam
na zamek, który wzdłuż ulic nadejdzie w kolczugach łuków.
Zamkowe sale jak echo — sklepienia martwych chórów
obsiądą mnie, jak pomnik gołębi obsiada trzepot.
Znużony, zastygnę u sklepień; w strzelnicy rudego muru
twój portret sprzed lat zobaczę wprawiony w zimne niebo.
Twe oczy białe od marzeń zawłoką mnie nad studnię,
gdzie skutny w drewniane dłonie płomień wody mdławy.
W tym wspomnieniu prawdziwym skoczę... a żółte południe
słońce uwiesi na szyi. Żegnaj, księżniczko jawy.

V. Ołani

Po rdzawych śladach echa nie wytropię
łani z rubinowych łez.
Kiedy przejdiesz za chmury, tam graniczny kopiec,
gdzie tylko pręgą smutku jest myśliwski pies.
Po żółkłych kroplach liści nie wywołam
płonących fregat gwiazd —
tam jak odarty z jaźni przez wiatr i tam wola
martwa jak dzban gliniany — wspomnień głąz.
W niebie ze szpilek śniegu — nie odszukam —
tam gwiazdy białe jak chłód.
Żadne zwierzęta mityczne nie szemrzą w czarnych
bukach,
żaden dąb nie wyśpiewa tych nut.

Z nieba czarnej tablicy gwiazdy kredowe zetrzyjcie —
— pejzaż i tak zgaszony jak wieczorna wieś,
bo nad żadne jezioro urojeń nie przyjdzie
łania ubiegła w trwogę, w zagasłych komet ogień,
łania z rubinowych łez.

styczeń 1940 r.

Poemat o Chrystusie dziecięcym

Matce i Annie

*Motto: Jeżeli was świat nienawidzi
wiedźcie, że mnie pierwszej
niż was nienawidził. Gdy-
byście byli ze świata, świat
miłowałby, co jego jest.*

I. Pieśń (Modlitwa)

Odbierz mi, Panie, ręce wygnańca
i daj mi ręce dzieci.
Jakże uradzę w martwych kolumnach
mity wybiegłe naprzeciw?

Jakże ogarnę ze snów najcięższy,
jak ptakom odpowiem słowem?
Oto się sypią czerwone węże,
liście jesieni klonowych.

Jakże wbitemu w urny peanów
trwodze pod prąd ulecieć?
Odbierz mi, Panie, oczy wygnańca
i daj mi oczy dzieci.

II. Pieśń (Introdukcja przez mroczny czas)

Płynęły barki wieków — ciemny stary testament,
przez fale barbarzyńskich rzek i głucho
na każdym kroku epok odbijało: amen,
jakby kto ziemi krzyczał prosto w ucho.
Ciągnęły lat wielbłądy i wędrówki ludów
pośród znaków, zbrodniarzy, proroków i cudów.
A coraz czarniej było. Dymów krągłe dynie.
Coraz duszniej przygasał rząd ofiarnych kaplic,
aż człowiek, spojrzawszy w człowieka jak lustro, wybiegł
na brzeg najdalszej trwogi, pod krzyk gwiazd i czapli,
a tętent dzwonów gonił głucho niebo tocząc
i nie było gdzie zbrodni pochować i oczu.

III. Pieśń (Przygotowanie)

Krzyżowały się linie — znaki ciemnych proroctw,
niebo w zygzakach całe płonęło, a wody
opływały powolniej. Sny były jak piorun,
kiedy jęczała ziemia największym porodem.
Z ciemnawych omdleń proroków wykwitał jasny jaskier
i dym opadał powoli, zgubiono ślady boskie.
Diuny trwóg spustoszały i tylko dęło piaskiem,
a pasterze jak co dzień w dolinę zjeżdżali na ośle.

IV. Pieśń. „A słowo ciałem się stało”

Jakże jasno świecił stłumiony płomień
i ogień wesoło strzelał smuklej niż hymn,
gdy jak każdy — narodził się matce syn,
a od gwiazd się paliły niebiesko płomyki na słońcu.
Upływały komety, upływał czas,
szły zwierzęta z obcych, pękających wysp
i kładły rogi płasko przed dzieckiem świecącym od gwiazd.
Czarny wilk kładł na żłobie łagodny pysk.
Kołysały się słonie, długie węże żyraf
i krowy z niebem spojrzenia przynosiły pola.
Mówiły dziecku stujęczyczny wyraz,
łamały sztywne patyki kolan.
Łagodnie cierpiała w nich ludzkość,
z oczu rosły paprocie rozległych krzywd.
Przypływały ptaki chmurami jak łódką
i zielono śpiewały las, wiatr porywał krzyk,
 wiatry porywały głos,
 a gasnący tłumiał nieboskłon.
Płakało tkliwie starym grzechem
i żalością po polach chodziło.
Mówił wiatr na ucho echem,
a las głośno powtarzał: „Miłość”.

V. Pieśń (Kołysanka)

Mój maluśki, uśnij. Deszczem
spływa nieba czarna rama.
Mój maluśki, ziemia do snu
ukołysz cię jak hamak.

Mój maluśki królu sierocy,
mój maluśki tytanie z oczami
niezapominajek.
Jaką ziemię odmierzysz krokami,
jakich dróg otulą cię gaje?

Mój maluśki, pozostań na zawsze,
daj mi ciszę swoją, nim uśniesz.

Mały Bóg się uśmiechał różowo —
błogosławił światu uśmiech.

Wariant:

Mój maleńki królu sierocy,
mój maluśki panie,
jaka straszna za oknem zamieć,
jakie straszne dzieje ludzi.

VI. Pieśń. „Pójdźcie za mną, a uczynię was rybakami ludzi”

Zbierali rybacy sieci, srebrne bańki ryb,
podnosili pod słońce oczy i ręce szorstkie,
kiedy do wody z pluskiem opadał zachód i krył
w zatokach jak sum ogromny — czerwone wąsy.
Znów wołali rybacy, słońca uchwycić nie mogli,
a nocą gwiazdy z pluskiem płynęły przez wiewierz.
Chwyтали rybacy słońce, uciekało okrągłej,
i na dyszącym trudzie kładli zmęczone ręce.
Kto im przez drogę przeszedł i z bliska słońce wziął w dłonie?
Jakie to dłonie przejrzyściej wyjęły serca spod chlamid?
Poszli wpatrzenni niemo, przeszli na drugi brzeg,
odchodzili rybacy jasnymi drogami
za rybakim o oczach błękitnych jak śnieg.

VII. Pieśń. „Któż jest ten, że wiatry i morza są mu posłuszne”

Wiatr wzbierał ciężko i morze układał w troskę.
Płaskie wołanie wiosła. Szedł długim rzędem plusk.
Ciężkich fal nie udźwignąć. Wiatr głos odrywał od ust,
zamykał w wody rozkwit.
Ciężko, rybacy. Ręce jak wiosła ciężkie.
Dyszało morze sztormem,
dyszały piersi męskie
i coraz wolniej opadało w pojęk,
i coraz szybciej kołowało orłem.
Gwizdał na fletni zielono, wiatrem wydymał się sztorm
i kolorowe kule — niebiesko pękały fale.
Kiedy o jedno spojrzenie po wodzie chodził on
nie mącąc dreszczem piany
 nadchodził bliżej,
 odchodził dalej.
„Widmo!” — krzyczeli — od lęku
bijąc rękami jak wiosłem,
a echo o niebo biło
i głosem o wodę niosło.
„Widmo!” — wołali, a oczy
nieczłowiecko dymiły od trwóg
i nagle pękły milczeniem
i wstąpił w barkę Bóg.

VIII. Pieśń. „Ktokolwiek by nie przyjął królestwa bożego jak dzieciątko, nie wejdzie do niego”

Ciężkie sny, przyjaciele. Cudy znużone. Uśpienie
tylko pole z daleka kołysze głosy.
Wiatr mu przeciągle śpiew kładł na skronie jak wieniec
i cesał słońcem miękkie włosy.
Przychodziły dzieci nieporadnie — małe ptaki,
bez skrzydeł nie mogąc ulecić,
i słowa kładły wzrokiem, słowa, spojrzenia i znaki.
Przychodziły do niego nieporadne dzieci.
A tu bez słów rozumiał i ciszą niepokój przygarnął,
ręce liliowe znużeniem i zmierzchem rozdawał jak chleb.
Przykładał spojrzenia do serca. Oczy siewne jak ziarno
i układał w kolebki kolorowych nieb.
„Macie”: darował im lasy i ptaków strzelisty przyśpiew,
dał drogocenne zabawki — radosne daniele lasów,
rozdał im kwiaty czerwone i drzew przydrożnych liście,
i nieznajomość czasu.

Wariant:

Dzieci w oczach noszą chabry
i powagę troglodyty.
Dzieci w oczach noszą prawdę,
noszą białe, spełzłe mity.
Dzieci mają rączki kociąt,
brodzą po kolana w śnie.
Odpływają okrętami,
odpływają pod żaglami
każdym liściem w jasny dzień.
Po błękitnych brodzą rzekach,
po zielonych brzegach brodzą,
okrętami z łup orzecha
na bieguny snów odchodzą.
Na kolebkach białych pieśni
złote kule niebem tocząc.
Dzieci noszą w oczach chabry,
dzieci Boga noszą w oczach.

IX. Pieśń. „Hosanna! Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie”

W pejzaż zielonych oliwek, w ramy kwadratów miasta
Bóg oprawiony. Pamiętam ten dzień i rżenie osła.
W winnym oparze poranek. Cisza dyszała opasła.
Promienie — pamiętam — pluskały po płaskich dachach jak wiosła.
Niosło się dalej. Jak dziecko
dzień klaskał dłońmi kwiatów
i małą, zdziwioną owieczką
przebiegła cisza przez drogę.
A potem gwar się lepił, miodniały usta słońca,
unosił przestrzeń jak ogień
patos wezbranych oczu.
Śpiewały kobiety leniwe:
„O, pozwól nam w niebo skoczyć”,
a chmury sypały błękit i z wolna wstrząsały grzywą.

Przez mały pejzaż uliczek
kołysał się szary chód.
Jasny świt go wykrzyczał
w kamienny miejski chłód.
„Hosanna!” — wołali wesoło, zapalał się okrzyk i gasł.
„Hosanna!” — pamiętam, wołali, błyszcząły noże palm
i coraz tłumniej wzbierało — wyrastał spojrzeń las,
a niebo rozgięło, z powrotem zginało błyszczącą stal.
„Hosanna!” — wołali. Jak radość
rosła spiętrzona fuga.
„Hosanna! — wołali — Panie,
płonącą ziemię ugaś”.
Przez głosy słyszał jak płacze
miasto zdarzeń i klęsk
i huczą gwiazdy przeznaczeń
w zimnych korytach rzek.

Wariant:

O, pozwól nam wołać: „Hosanna!”,
przed ołtarz zielony zaprowadź,
a w smutne białe jelenie
zmień zmęczone słowa.

Pozwól nam śpiewać: „Hosanna!”
pod pomnikami drzew,
daj, żeby z nami śpiewał
nasz brat — puszysty lew.

Przywróć nam siostry jaskółki
i bractwo z klanem saren.

Podaruj nam słowo „Hosanna”
i żółte obłoki podaruj.

Uratuj nas od myśli,
milczącej gliny pogrzebów.

Pozwól nam śpiewać „Hosanna”
i pozwól nam skoczyć w niebo.

X. Pieśń. „I przyszli na miejsce, które zowią Golgota”

Ruszyły drzewa pogrzebnie, jak kondukt ostatni wiodąc
ręce rozpaczą skręcone na niebie żółtym jak siarka.
Kolce kłujące w oczy. Broczyły echa pochodu —
— spiętrzone fugi arkad.
Dzwoniły opasłe ogrody, krążyły sępy huczące,
trumną sklepienia przywalał krok niezrównany śmierci,
gdy coraz głębiej odchodził. Stanęły konie rącze,
sarny, jelenie, daniele płacząc dzwonami piersi.
Ruszyły góry żałobnie: szły, brodziły przez rzeki,
dyszały strwożone motyle oddechem gasnących skrzydeł,
a ludzie nie wiedząc płakali, pękały im w piersiach wieki.
Ostatnia oliwka przy drodze jak wbity nad grobem rydel.
Kto ciężar śmierci uradzi i wbije ją w życia środek
jak kolec? Szedł powoli najmilszym, najzłotszym ogrodem,
a gwiazdy wyległy naokół jak straszne uśmiechy armat.
Bliżej ostatnia golgota, wybuchał krok mgławicami.
Chwiało się niebo wypuklej, biło o ziemię na trwogę.
Olbrzymiej huczało w planetach, pękały krwawo racami,
a wiatr podpalał drogi.

XI. Pieśń. „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią”

Zatopiony w zachód słońca umierał
na szczycie śmierci, na szczycie ziemi.
Kto myślą najstraszniejszą wywołał?
Kto głosami w noc nawoływał — ciemnemi?
Kto się groźniej uporał z ziemią
jednym uśmiechem życia wśród trwogi zakrzepłej krwi?
Kto dni odejmował po jednym
i malował przestrzenią dni?
Czy w ten wieczór płonący na ukos
nie zobaczył lęk oprawcy,
jak to ziemia ulatuje krukom
i czas martwy zwycięsko zastygł?

„Panie, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do królestwa twego”

I obrócił oczy na prawo —
nagle otworzył pół ziemi.
Długo patrzył jej prosto w serce,
porozkruszał zdarzeń krzemień
i odpuścił. Umierało spokojnie
po prawicy jego pół ziemi
w jednych oczach, jedną prośbą: „Przemień”.

Wariant:

Przemień słowa, odejmij nam patos,
czarnych kroków odejmij echo.
Poszybuję w zielone lato
na obłokach dziecięcych grzechów.
Przemień ziemię w chmury płynące
i od trwogi nocnej wybaw.
Przemień trwogę w białe owce.
Daj nam żyć w latających rybach.
Przemień ziemię w czas i przestrzeń
i odejmij nam od nóg ziemię.
Zawieś morze jak płachtę na wietrze
i w wesołe wilgi nas przemień.

I obrócił głowę na lewo z najcięższych spojrzeń najcięższym,
gdzie umierał najuboższy człowiek na najwyższym grzechów piętrze.
Nie odwrócił głowy na Boga,
patrzył w ziemi glinianą maskę.
Tylko ciężej oddychały krzyże
jak koląca prośba o łaskę.

Spadły dźwięcząc wrzęciadze nieba,
w czarny krzyk świat obrzękły się zapadł.
Ktoś pejzaże gliną ciemną pogrzebał
i przydusił słońca zapal.
Płakał serc rozgromiony obłok.
Matka z ciszy wypruwała lament.
Wyginały się pola aż obłó
i spadały na ziemię łzami.
Wtedy głos nawoływał, przygasał i wywołał w najgłębszych tonach:
„O eli, eli lama sabachtani”.
Zapłakał Bóg człowieczy
i skonał.

XII. Pieśń (Epilog)

Jakie to słabe słowa. Oto gasną strzępy
myśli i słońc umarłych, a na karty czarne
spadły ostatnie krople krwi jak sępy.
Jakim słowem słowo przerosłe ogarnę?
Takie są mity i pieśni. Rosną zielone dęby,
rosną groby na ziemi, czas odmierzają parniej.
A przecież gasną wieki — gołębie pustych listów.
Czemu jest zawsze samotny — gdy schodzi na ziemię Chrystus?

ukończone dn. 1 listopada 1940 r.

Legenda

Wydęte karawele o żaglach z czerwonych motyli,
pachnące cynamonem, pieprzem i imbirem,
upływają po morzach mosiężnych, a w tyle
delfiny ciągną — jak antyczne liry.

Jacyż na rufach zdobywcy
odlani z płynnego złota
w pieśniach wysmukłych jak skrzypce,
z puszystym wejrzeniem kota?

A zawsze tak samo daleko
dzwonią na widnokręgu
maleńkie archipelagi,
które dosięgnąć ręką.

Tam w wyspach małych jak uśmiech
przez dżungle tygryziej trawy
wędrują złote strusie
i szylkretowe żyrafy.

W różowym hamaku wybrzeża
koń purpurowy gna,
a z dziupli zagląda w pejzaż
maleńki induski strach.

Kto ten krajobraz zbudował
na wiotkim cieniu zamyśleń,
nad trąbką wiatru wydymał
policzki wezbrane jak wiśnie?
Oto zwrotniki płonące
jak złoto-czerwone piekło.

Maleńkie archipelagi
zawsze tak samo daleko.

Strzelały race gwiazd
w przestrzeń wydętą i ślepą,
spadały księżycy na płask
do dna stopionego w srebro.
Śpiewały ryby skrzydlate
pieśni przejrzyste i szklane,
kiedy w wyblakłe rano
okręt upływał nad światem.

Oto legenda marzeń,
śmiesznych ptaków ze snów.
Nocą to tylko żeglarze
płyną na dziwny łów:

Patrzyć, patrzeć na niebo smutku
nad drzewo odarte historii.
Tam białe trupy zdobywców —
— herosów zastygłych w orion.
Tam tylko w hamaku plaży
dziewczynki z miedzi kołyszą
pieśni zgubionych żeglarzy
zarosłych czasem i ciszą.

21.II.41 r.

Ostatni wiersz

Te dni są małym miasteczkiem zdarzeń.
Znam świat na pamięć,
na pamięć znam każdą gwiazdę i ból wieków,
rzeczywistość granitową co dzień.
Nie żyję w mieście i krajach globów,
żyję w ogrodzie
przekwitłych uczuć zwierzęcych i pragnień.

Ja: rozstrzelany po tysiękroć żołnierz stuleci,
z sercem na bagniet brata nakłutym,
nie czekam. Za wzgórzami czasu nabrzmiewa nowy atak.
Odważnie nie wiem końca i początku świata.
Kiedy mnie jak boga — przez tysiąclecia nie znanego — wyklęto,
znam drogę krzyżowej mądrości — obojętność.

czerwiec 1940

Sen

1

Sen supły płaskie
najpierw szeleścił jak oset,
aż wykuł niedźwiedzia czy wilka.
Wilk był tobą, szedł bosy
przez drogę zadymioną jak szkło,
drogę dłużącą przez usta.
Zresztą
wzbierało już i szło,
szło zewsząd,
przez krzywe, wypukłe lustra:
jakieś krucjaty przeciw słońcu.

2

Schody kręte, a trumna w dole małeńka.
Huczało echo — kopuła — pękaty bęben.
Dom rósł w śmierć czarnym dębem,
gdzie kornik żerujący na dźwiękach.
Szło się długo przy świeczce w dół
wśród płaczu drżącego w ustach.
Na dole rozdęta sień
ziała cieniami — pusta.
Padał deszcz, czarni ludzie za bramą.
Karawan, który czekał, w lęku okrzepł.
Mały chłopiec w koszuli, wołałem: „Mamo!”
Kondukt ruszał. Był to mój własny pogrzeb.

3

Już był najwyższy czas,
znaki na niebie rosły
i ludzie w szatach z miedzi
szeptali przylegając do gwiazd,
palcami niebo rysując wołali: „Jedzie!”
A tam
namnożyło się zodiaków, wielkich niedźwiedzi
i zabawek sypiących z nieba.
Prosiłem: „Powiedzcie!” Na próżno,
uciekali mrowiskiem splątani w kłęb.
Zasypany po szyję w trociny,
zostałem sam,
już było za późno.

4

A potem jeszcze pola jak pokład
schły pod niebem martwym.
Była droga czarna, namokła,
była droga kół czarnych,
manifesty rozwieszane na chmurach.
To świt
już —
srebrny palec katedry wytknął kurant
ostry jak nóż:
awemaria.

szpital, 20.IV.41 r.

Serce jak obłok

poemat

Matce

I

W takich nocach się lęgną
same marylki tylko i skrzydła nawałnic.
Takie noce się karmi
przez wiatr oderwaną ręką.
Takie noce dymią padliną —
gnijącym runem obłoków;
błądzący po nich giną
w lęku i mroku.
Takie noce rodzą tylko zwierzęta:
konie bez głów i koty ziejące płomieniem,
i płynie w nich ziemia przeklęta
głuchym strumieniem.
Jakże te noce przemógł,
które rosną jak trupi obrzęk
i jak ryby duszą się niemo?
Jakże w nich zrodził się olbrzym?

II

A miał Tytan ramion dwoje — gałęzi,
jak mosiądz, co się w słońcu wygina,
i oczy, jakby w nich niebo uwięził
albo jakby mu błękit spojrzeniem
przez głowę na wylot płynął.
A nad głową koronkę włosów
do ptaków podobną, koloru róży czy rtęci,
spadającą na wysmukły pomnik twarzy,
kiedy w drogach złocistych brodził,
w płomieniami płynącym zachodzie,
i tętniące cyklony marzył.

Kiedy świt jak owoc mleka dojrzewał
w kolorowych szybkach jaskiń,
ruszał Tytan przez dzwoniące jaskry
jak przez gwiazdy wdeptane w trawę,
i melodie echem śpiewał,
a przed sobą pędził jak korabie
zamyślane, koczujące jak owce
w szczerym srebrze wykute lodowce.

A spod stóp się sypały lawiny
jak odłamki kroków wędrujących
przez pustynie planet innych,
przez kotliny zatopione słońcem,
poprzez ziemię jak wielką przyczynę
zgasłych studni i źródeł bijących.
Pały trąby miedziane wichury
w kolorowy codzienny zachód,
pędził Tytan bezimienne góry
nad koralowy wodopój,
gdzie jak senne zwierzęta — łapą
przecierały znużone oczy,
zanurzały pyski w spokój —
w aksamitne fale nocy.

Czegóż więcej potrzeba, gdy głos twój
budził gór żelazny obryw?
Czegóż więcej trzeba oczom modrym,
że tak w smutek patrzyły prosto,
że aż śmiercią lodowatą wiało od nich?

Nosił Tytan w piersiach mocnych
wyrojone w groźną noc narodzin
smutne serce wykarmione na wyjących wichrów głodzie,
smutne serce wybujałe na lamentach ptaków nocnych,
na modlitwach psów — rzucanych w tarczę snów okrągłą —
— dziwne serce — zamiast serca — obłok.

III

Dojrzewały w sadach śliwy, śliwy złociste, jakby
kto krople słońca w powietrzu ostudził nagle jak wosk.
Tańczyły siostry kołem, od tej wesołej jazdy
migalo pod powiekami, drażniło nozdrza jak włos.

Dudniły warkocze, tak lśniące, że prawie w słońcu białe,
jak ulew jasne spłoty rzucane z nieba ukosem.
Dudniły deszcze owoców poprzez rozwiane włosy,
żeś już nie wiedział na pewno, czy włosy, czy śliwy dojrzały.

Tańczyły siostry kołem, a Tytan przystanął; od żaru
oczy ręką ogarniał jak od lśniącego bąka:
„Weźcie mnie, siostry, będziemy po kolorowych łąkach
tańczyć pośród jesieni zielonożółtych pożarów”.

Śmiały się siostry, śpiewały głosami
jak zielonymi wilg owocami:
„Jakże będziesz tańczył z nami
pod jesieni namiotami,
kiedy ręce masz jak stal i mosiądz?
Strącisz z gór sokoły lawin,
huk lodowców słońce zdławi,
kiedy pieśń zaśpiewasz mocnym głosem.
Jakże bratem naszym jesteś,

kiedy my jak płomień lekkie,
który biegnie w płonącej słońce,
a ty wiatrem noc zalewasz,
piorunami płoniesz w drzewach,
rozdmuchujesz w kolorowy zachód słońce?
Jakże mamy tańczyć z tobą,
kiedy zamiast serca obłok,
w piersi burzą wypełnionej nosisz?”

I wesoło się siostry śmiały,
świergot ptaków coraz bardziej zanikały,
aż pozostał po nich lot pajęczyn
rozwieszony w powietrzu dźwięcznym.
Został Tytan sam na brzegu żalu
jak na brzegu najsmutniejszej wyspy,
gdzie na drzewach nawet ptaki wszystkie
są z zimnego złocistego metalu.

IV

Kąпали się chłopcy w rzekach,
których prąd podobny dłoniom żylastym,
gdzie czekała ich polana niedaleka
i mijały ich wysnione obce miasta
napęłnione kopułami z kolorowych szkiełek,
które w słońcu się wzdymały i gięły.
I widzieli w lasach ciemnych, wilgotnych
wirujące tęczę z purpurowych kamieni.
Wśród zielonych kołysek cieni
migotały im dziewcząt loki.
Ale jakże je było uchwycić,
kiedy były z snów przejrzystych nici?

Staął Tytan nad rzeką i zawołał,
aż się kręgi kręciły po wierzchu,
jakbyś kamień w wodę rzucił — coraz dalsze koła:
„Chodźcie, chłopcy, popłyniemy o zmierzchu
i zamkniemy w rąk brązowych kleszczach
kraj błękitny, gdzie gwiazda mieszka”.
A śmieli się chłopcy białemi —
jak orzechy wyłuskane — zębami:
„Jakże płynąć chcesz, Tytanie, z nami
do tych bujnych jak burze ziemi,
kiedy my szukamy w nich dziewcząt —
jedwabnego jeziora pieszczot,
kiedy chcemy wydrzeć drogie kamienie
tęczom barwnym i zazdrosnym ziemiom?
A ty nie masz soczystego serca,
w którym dudni krew chciwa klejnotów.
Czy w lodowcach swych ukryjesz złoto?
Czy w cyklonach swych poszukasz mu miejsca?”

I płynęli, przepływali obok:
„Przecież ty masz zamiast serca obłok”.

Poszedł Tytan od chłopców wesołych,
wielkie stopy ostrożnie stawiając wśród drzew.
Jeszcze za nim pogłos rzeczny wołał
i płynących daleki śpiew.

V

Czesła Światłoluna włosy ciemne
przed zwierciadłem strzaskanym potoku,
zanurzała wąskie ręce głęboko,
ku swym oczom zielonych tajemnic,
które w wodzie się tliły i gasły
jakby z mroku utkane, a jasne.
Zeszły sarny do strumienia, wodę
tuląc miękko do wilgotnych twarzycek,
przybliżyły kosmaty policzek
do jej dłoni błękitnych od chłodu
i wznosiły nozdrza mokre i czarne,
jakby w piersiach jej przeczuły sarnę.

Widział Tytan Światłolunę i pokochał,
rzucił stada gór lodowych i gromów
i co rano przed płynącym lasu domem
dzwonił pieśni na wydętych wiatru konchach,
aż z przestrzeni taki żal wywabił,
że na liściach osiadło łzami.
Tylko z dali ryczały porzucone lodowce
przystanąwszy w zasłuchane stada
i skręcone orkany jak owce
pobekując zawisły w powietrzu,
nawet ostre pociski deszczów
zwisły z nieba — stanęły nad ziemią,
w kręgi pieśni zasłuchane niemo.

Tytan grając śpiew smutny w ciszę długo snuł,
jakby ciemną nicią żalu niebo rozciął wpół:

„Szybują bąki wiecznych burz
chmurami w dół, chmurami w głąb.
Spadają deszcze szklanych róż
pośród mosiężnych wiatru trąb.

Widziałem w twoich oczach las
wiodący sarnim rytmem w świat,
gdzie zamyślane ryby gwiazd
nad nawałnicą lat.

Uchroń mnie lotem swoich rąk
jak białych ptaków snu
od wędrujących za mną łąk,
od wędrujących gór.

Szybują burze, w burzach drży
mój własny groźny krok.
O, schroń mnie w namiot swoich snów
przed stalą moich rąk”.

Wyszła wtedy Światłoluna ba brzeg światła,
pół się śmiejąc, pół po wietrze ręką wodząc
jak po grzbiecie zbudzonego pieśnią bawoła,
i uniosła smutne oczy jak lecących chmur zwierciadła,
jak jaskółki zabłąkane późną nocą
w wirujących planet kołach.
Pół się śmiejąc, pół śpiewając zawołała,
jakby strumień ciepłym altem w niebo lała:

„Jakże ty mnie chcesz, Tytanie, kochać,
zadumaną w moich białych potokach?
Jakże chcesz mnie w mocne dłonie uchwycić,
kiedy nie wiesz, czy to ja, czy moje odbicie?
Bo ja jestem na wpół prawdą, na wpół ciszą,
jakby liście, co w powietrzu — zanim spadną — wiszą.
Boję ja się twoich gór tętentu,
twoich wichrów jak lecące zwierzęta.
Kiedy rykną twe lodowce lawiną,
moje oczy znikną w liściach, w kwiaty się rozplyną.
Za wysoka będzie miłość z tobą,
kiedy ty masz zamiast serca obłok”.

Za wysoko było podjąć płacz z tej nuty,
gdzie go piersi wyrzuciły ponad przestrzeń,
gdzie go taki lodowaty wylał smutek,
aż zamarzły nieruchomo wszystkie ptaki na wietrze.

Tylko z powiek Tytanowi łabędź spłynął
zamiast łzy — i w chmurach zginął.

VI

Dudniły rzeki po zboczach. Pełzały złotym płomieniem
ogniska ludzi w dolinach, kiedy się do snu kładli
nic nie widzący powyżej, niż biegły z ognisk cienie,
nie szukający ponad to, co już od dawna odgadli.
Ryczały krowy mleczne i rogi nurzały w senność,
a ptaki spały mocno jak wyrzeźbione w gałęziach.
Piersi zwierzęce i ludzkie wznosiły, zniżały ciężar
ogromnej kuli nocy, którą zamknęła ciemność.

Wtedy z pieczar głos się piętrzył i tak urósł,
jakby nie był lotem ptasim, ale czarną górą.
Wołał Tytan w puste studnie nocy,
aż mu oczy wypalone troską zgasły,
a od głosu ziemia stała w gromach jasnych,
złote kule na doliny tocząc.
A lawiny lały się jak srebrne rzeki,
jakby starte kołem czasu — wieki.

Właśnie świt nad nocą przysiadł; jakby ptak
skrzydłem mlecznym gwiazdy z wolna ścierał,
kiedy drogą bladą jak we snach
Matka szła o twarzy wyrzeźbionej
w smugi smutku, jakby się nią przelał
czarny płomień zamknięty we łzach.
A łzy były za Tytanem tęsknione
i nie gorzkie już, a tylko czerwone.
Wtedy w piersi Tytana obłok
tak się dźwięcznie w białą chmurę skłębił,
że po halach posypał się pogłos
cekinami mieniących gołębi.
I w ramionach Matki zamilkły
jego oczy jak zamarzłe wilki.

Tylko skrzydła jej srebrnych włosów
długo wiały na porannym wietrze
i sypały się w błękitną przestrzeń,
zastygając w konstelacje i znaki,
nie wiadomo, czy łzy, czy ptaki?

ukończone 30 sierpnia 1941 r.

Szklany ptak

Poemat — baśń

1

Zbożem płynęły pola daleko na nieba brzeg,
gdzie w błękit wpływały jak floty i układały się do snu,
lecz kiedyś ucho przyłożył do serca ziemi — to lęk
jak pajęczyna chwycił, bo słycać, jak groby rosna.

Lasy jak gobeliny, na których zwierzęta utkane,
jak fala widnokregu w widnokrąg chlustały i szły,
lecz kiedyś oko przyłożył do okien zielonych polany,
widać złoczone zbroje i krwawe ręce złotych.

Barki ładowne szły rzeką i tkanin złoty ogień
wiozły, ciężki jak ołów i srebrnolite kły,
a kiedyś serce przyłożył do kołyszającej drogi,
słycać: dudniły ludzkie, jak pięści twarde — ły.

Kraju, kraju szczęśliwy, płynący słońcem i mlekiem,
gdzie rzeki juczne mijają, gdzie dzwoni pogłos kos,
wołają w tobie żniwiarze, wołają gwiazdy dalekie,
śpiewa pod tobą umarłych — jak krew szerniała — głos:

„Kraju dziwny, od pól złotych — złoty,
dzwonią czerstwe owoce na drzewach,
biją w kuźniach ogorzałe młoty,
lira sosny napięta — śpiewa.

Kraju drżący jak wzdęty ul,
kołyszany w kołysce jaśminów,
skąd to w trumnach pulsujących pól
czarne kukły twych spalonych synów?

Czemu chleba przekrojony bochen
tryska w górę płaczem czy krzykiem?”

2

Z chmur i z łądów magowie
szli do ziemi bogatej i smutnej.
Na dostałych pól złotogłowie
kładli ręce i zakłete lutnie.
Odczarować chcieli ziemię przekłątą,
od spalonych serc jak trwoga — czarną,
i wyzwolić chcieli na pół świętą,
a na pół już chyba umarłą.

I budzili ją w pszenicznym słowie:
„W imię Boga, ziemio, odpowiedz!”

I budzili ją w słowie światła:
„Kto cię zatruł, ziemio nieodgadła?”

I budzili ją w słowie ognia:
„Czemu spalasz, ziemio, jak pochodnia?”

I budzili ją w słowie trumien:
„Czemu szczęśna być, ziemio, nie umiesz?”

Popękały lutnie magów i kule
z kryształowych strumieni ulane;
zamieniały się słowa w liście,
sucho gasły nad czerwonym łanem.
Ziemia głucho toczyła dalej
krew, okręty i złote fale.

3

Wyrósł Miłun korzeniami z ziemi,
ramionami w nieboskłon zaparty. Ciemnymi
cieniami o zachodzie kołysał go wieczór,
aż wkołysał weń burzę nabrzmiąłą od przeczuć.
Drzewa go otulały, aż mu w żyły wlały
krew zieloną, a z góry obłoki dojrzałe
sączyły białe mleko w przezroczyste oczy,
że wzrósł mocny jak skała, a nad nim się toczył
tabun pragnień obłocznych, a tak ziemi bliskich,
jakby jesiennej roli — wirujące listki.

4

„Miła — mówił — lirowłosa Lelo,
dziś o świcie — mówił — słońce białe
zawołało mnie, gdy w progu stałem,
Odejść muszę, lirowłosa Lelo,
w jakiś ogień czy w pustynię lodów,
w jakieś smutne wydmy, gdzie tarnina
biało płonie nad grobami rodów,
gdzie jest świat jak cud i jak grobowiec,
w takie kraje, których nie wypowiem,
które można przyśnić tylko.

Miła — mówił — ziemio umęczona,
zamyślona w pozłoty grobowe,
dla twych synów przywiozę nowe
słowa mocne i błogosławione”.

Wykuł Miłun korab z cisów, co na przedzie
nosił rzeźbione gwiazdy, figury i runy
czerwone i błękitne, jakby jasno wiedział,
że te znaki to krwi są spływające struny.

Białe plaże ciągnęły korowody cieni,
w które dał zachód płatami biegnącej czerwieni,
a na nich żagle drżały jak napięte konie
do biegu albo biało kwitnące jabłonie.

I na rejach wysoko zawiesił jodłową
gałąź, aby szumiła jak sztandar nad głową
i jak serce wydarte płaczącego kraju
była drzewem wspomnienia i drzewem rodzaju.

6. Pożegnanie

„Żegnaj, Lelo — powiadał — oto się otwarły
dzwierze domów zielonych”. A już burza parła
w policzki żagli wzdęte jak skrzydła do lotu
i fala wyprysnęła bursztyny czy złoto,
które dźwięcząc wraz z głosem opadły na piasek
jak łzy, których nie stało za żegnanym czasem.

Tylko długo wśród plaży Lela i synowie
stali, zakrzepli w wietrze w kamień smutku płowy,
który był jak łza ciepła płynąca po twarzy
i jak lodowy pomnik ginących żeglarzy.

7

Na oceanach ciemnych od gniewu
błąka się z ognia wygasłe niebo.
Fale jak głowy obcięte krwawią
pianą nietrwałą czy gorzką sławą?

Na oceanach wiatr sypie w oczy
suche szkielety skrzydeł i nocy,
które szeleszczą zmiażdżonym lodem,
aż szpary źrenic zamienią w wodę.

Po oceanach płyną umarli,
wiatrem przeszyci jak ostrzem czarnym,
ich białe oczy toczą się łzami,
aż śmigłe ręce przemienią w kamień.

Na oceanach sny są jak ołów,
krążą jak sępy, dzwonią jak koła
i idą fale dudniąc pochodem,
aż wszystkie lądy przemienią w wodę.

8

Ląd jak rzucona z nieba kotwica
na wodzie z nagłą zamilkł.
Zgasł wiatr huczący i tylko sypał
cicho po twarzy — łzami.

Posłuchać: we mgle jak w białych kłębach
góry prężyły się lodem,
góry — mamuty o lśniących zębach
przeciągające pochodem.

Przystanął Miłun na dziobie. Korab
jak pył w powietrzu drżał,
a głos jak luster pękniętych chorał
srebrem się sypał ze skał.

Szedł Miłun drogą, a drogi takie
są jak wspomnienia śladów olbrzyma;
wiodły go mewy jak białe znaki,
on — w ręce gałąź jodłową trzymał,
która zielonym smutkiem śpiewała,
jakby ten szklany pejzaż poznała.

Aż przystanął Miłun pod skałą,
która była z litego kryształu,
w której nieba i granie strome
odbijały się odwrócone
i płynęły w niej kamienie i śniegi
odwróconym zakłętę biegiem.

I tak szedł przez odbicia czy drogi
w kręgi gór, których pejzaż zastygły
swym odbiciem zdawał się wirować
powolnymi obrotami planet.
One jakby zawisłe w powietrzu
były ciche jak zastanowienie
nad największą tajemnicą ziemi
i czekały nad tysiącleciami.

Tak mijając stanął nad chmurami,
w których mrucząc cicho spały gromy
tak wysoko, że niebo już było
tylko wodą szeroką i ciemną,
która z wolna płynęła z jednego
na brzeg drugi i wracała znowu.

Wtedy spojrział Miłun w dół — na dole stała
ziemi twarz — zmarszczkami brązowymi
w taki grymas tragiczny zastygła,
że nie kulą się już wydawała
ale maską gigantycznej trumny.

Więc zawrócił Miłun — oczy zgasił
dłonią smutku i szedł w dół, gdzie morze,
za nim góry zwracały się z wolna
i mróz biało szybował jak orzeł.

9

I znów dzwonił korab w fali miedź,
a lodowce jak zakute w szkło obłoki
lawinami mlecznymi żegnały go: „Jedź,
synu mocny, w wodę tak głęboko,
jak dosięga odbicie burz lodowych,
co jak włosy otaczają nam głowy.
Tam co noc metalowe dzwony
snują pieśni wysmukłe, surowe
o zwycięzcach. Może twoje pięści
w wrzące leje wody zanurzone
wydrą z głębi zatopione szczęście”.

Stopie kolorów dziwny
jak szyby letnich wieczorów,
straszny jak oczy krzywdy,
zgodny jak biały chorał.

Gdzie drętwy płaskie jak piorun
zgnieciony głuchym młotem
wiodą zielone iskry
i kule oczu — złote.

Żywe gałęzie krabów —
— napięte łuki grozy
składają w serca muszli
liście czerwonych nożyc.

Suną ryby-planety
po niewidzialnym sznurze,
z otwartym lejem paszczy
ciągnącym je ku górze.

A w okna martwych fregat
ziejących stuleciami
płyną niebieskie raki
jak w trumny albo bramy,

gdzie wokół stołów milczą
zakute w ciszy pięść
szkielety komandorów
jak cienie snów i klęsk.

A gdy w grozie i kolorach zakrzepł,
to zrozumiał, że już nie wywiedzie
ani białych jabłek radości,
ani mieczów z zielonej miedzi,
które braciom by zaniósł w dłoni
jakby gwiazdy szczęśliwej płomień,
która noc jak bramę otworzy.

I zapłakał Miłun, a wiatr
gnał obłoki jak konie wezbrane
w profil żagli, które rwały w świat
jakby w nieba otwartą ranę.

Upływały kule dni,
upływały w widnokreghi coraz dalsze,
aż błękitem krzepło w rudej krwi
i do powiek przyrastały palce,
które tropiąc w dalekim żalu
wysp czy lądów — oganiały promienie,
aż się w popiół zamienił i spalał
wzrok w horyzont wbity i wspomnienie.

Najpiękniejsze — wspomniane obrazki
rysowanie na ścianie ręką
jak zdradliwe ciche ciosy łaski
wracające, aż serca pękną.

11

Niebo się toczyło na północ czy zachód,
było różą deszczu rozkwitającą w krąg,
a zielona przestrzeń pełna szklanych kwiatów
i we wszystkie strony sterujących rąk.

Słyszać było głosy rosnące w szeleście,
które niosły korab w przestrzeń z jasnych piór
i stawiały cicho w przezroczystym mieście
zbudowanym w czasie jak na łuku chmur.

I przestąpił Miłun przestrzeń jak szkło,
podał ludziom przejrzystym rąk spalonych młoty,
szedł przez śpiewające runie szklanych łąk
i powietrzne zamki w rzece słońca — złote.

Opowiadał Miłun o swej ziemi.
o tych lasach zielonych jak rzeki,
o tych ludziach smutnych i dalekich,
którzy serca mieli chore od żalu,
gdzie kto wolny — ginął niewolnikiem,
a gdy tęsknił w niej kto — to za pyłem,
gdzie się krwawe rodziły słowiki,
a gdy silny kto — ten jak bez siły.

Więc go wiedli przed drzewo szkliste,
które miało niebieski pień,
które miało z płomieni listki
i jak ogień — przejrzysty cień.

A owoce rosły na nim szklane
jak płomienie zastygłe w ptaków kształt,
które skrzydła rozwinąwszy — zadumane
pozostały jak odłamki skał.

12

Więc wziął Miłun przejrzystego ptaka w ciemne dłonie
i korabiem w dół na ziemię powoli opadał,
aż się maszty o obłoki ojczyście otarły,
a spalone wiatrem oczy o wybrzeże wsparły.

„Witaj kraju” — powiadał i rękami gładził
liliowe futro zmierzchu, i myślał, że kładzie
swoje serce w szkatułę — pod niebo zamkniętę,
które uciszy lądy wrzące w nim i piękne
ręce położy na nim jak kobieta dobra,
która jest razem dzień i cisza modra.

Wtedy przyszedł przed chatę, co w zielonym lesie
płynęła razem z lasem przez wiosny i jesień,
ale w jej oknach białych jak powieki świtu
zobaczył cienie obce, ogromne wśród światła,
i lirowłosą Lełę, i cień, co ją przykuł
do jakichś obcych zdarzeń, do ludzi i linii,
po której — widział — jak daleka płynie,
gdzie była mu jak ręce obcięte — po wiekach
przykładane do tego samego człowieka.

Strofy o życiu i śmierci

- Tłum się skłębził i podpałił
Dwugłos: łuną światła miasta.
W ołowianych rzekach drżała
roztopiona gwiazda.
- Głos I: Jabłka w koszach jak dojrzałe
serca drzew zwycięskich.
- Głos II: Na cmentarzach czaszki grobów
jakby kroki klęski.
- Głos I: Dzbany mleka, w dzbanach srebrnych
dudni żywy marmur.
- Głos II: Chmury kraczą nad spojrzeniem,
szarpią ziemię czarną.
- Głos I: Smukłe ciała — piersi smagłość
zanurzone w zachwyty ramion.
- Głos II: Nocą próżno w szkle strumieni
myją krwawe krzyże znamion.
- Głos I: Księgi pełne, księgi silne
dojrzewają w czystych ustach,
- Głos II: a przed lustrem w trwodze nocy
zije w czaszce rana pusta.

Oto drzewa złotych iskier;
Dwugłós: pod drzewami wieka trumien.
Nie odnajdziesz szklanych ptaków,
kiedy śmierci nie zrozumiesz.

Mówił Miłun: „Oto ptak,
szklany ptak zwycięstwa,
kiedy śpiewa pieśń — to pieśń jak znak,
kiedy zbraknie serc — to pieśń jak klęska”.

Mówił Miłun: „Oto natęż słuch,
kraju piękny, odsłoń jasną twarz,
gdy usłyszysz — to tysiącem głów,
gdy usłyszysz — to już moc swą znasz”.

Wtedy śmiech rozwalił łunę blasku,
z ciżby wyszedł olbrzym i uderzył,
aż gwiazdami się sypanął po piasku
odgłos skrzydeł. Był wieczór. Ptak nie żył.

Wsparł się chłop ogromny o wiatr,
oczy płaskie jak blacha zwężył
w śmiechu głupim, bo myślał, że świat
i proroka obłoków zwyciężył.

A w rozlanej ciszy, w wiatru wiew
bił ogromną ręką wielki śmiech:
„Jakże teraz ten, co życie niesie,
 echem sypnie po zielonym lesie?
Jakże teraz z stłuczonego szkiełka
wstanie siła jak orkan wielka?”

Wtedy śmiech się stoczył w beczki ust,
wtedy echem po kolumnach rósł,
wtedy tłum się rozplynął drogami
i zapadła noc — jak głuchy kamień.

Został Miłun — korzeniami wrósł
w ziemię swoją płynącym modrzewiem
i stłuczonym sercem, grobom ust
błogosławił zielonym śpiewem.

*

A po nocach — niesie groźny mit —
widać: drzewa płonącego upiór
niesie krwawy pół-krzyk, a pół-śpiew,
jakby kłątwa rozrąbanych drzew:

„Płyńcie w trumnach wieków i epok,
przywiązani jak trupy do ziemi,
aż spopielą się wam oczy ślepe,
a z popiołów powstanie feniks”.

rozpoczęte w końcu września,
ukończone dn. 19 października 1941 r.
KB.

Ballada zimowa

Chmura z miedzi uderza,
blaskiem bije w puklerzach,
jeśli puklerz — to oczy z ołowiu.

W lasach siwych od błysków
jak znużenia kołyską
wracał rycerz z puszystych łowów.

A od śniegu — wraz z koniem —
był jak chmura jabłoni
huraganem niesiona przez zamieć.

I tak w pędzie zastygli,
że na mróz jak na igłę
wbici — z wolna zmieniali się w kamień.

Wtedy knieje srebrzyste
promień przeciął ze świstem,
droga przeszła w niebieską równinę.

Złote chleby i ręce
jak w dzieciństwa piosence
niosła matka na witanie z synem.
Złote kosy i oczy
co jak senność złej nocy
na gościniec wyniosła dziewczyna.

Ale on jak po ścieżce
w pół po drodze, pół w wietrze —
— biały posąg — przetętnił i zginął.

Aż jak głaz w biegu — wisiał
i ptak szary mu przysiadł
na przegubie lodowatej ręki

i pradawnych snów trzepot
w sercu zatlił mu ślepo —
szary płomyk samotnej piosenki.

W pył rozsypał się szklany
rycerz. Buchnął tumanem.
W popiół zamienił się z koniem i cieniem,

tylko niebo szerniało
dalej w grozie sypało
gwiazdom — ciemność, a ludziom — kamienie.

listopad 41 r.

Olbrzym w lesie

Wstęp do poematu

Kiedy przebudzili się rano, zapytał Aboon Sahii:

— Co ci się śniło?

— Widziałam góry, które ruszały się jak zwierzęta, a potem zmieniły się w zwierzęta.

— Widziałam zwierzęta z gór powstałe, które płakały jak człowiek i zamieniły się w człowieka.

— Widziałam człowieka, który płakał i który w nic już zmienić się nie mógł, ale gromy biły, drzewa padały i spośród nich wyszedł brat człowieka, który szedł w imię płaczących i w imię zbrodni, który szedł w imię Boga i w imię szatana, który szedł w imię chmur i w imię ziemi, a człowiek, który płakał, wołał do niego: „Ślepy! idziesz w imię urojenia!” i w wiatr się rozsypał. A ten idąc w imię płaczących i w imię zbrodni, w imię Boga i w imię szatana, w imię chmur i w imię ziemi, nie słyszał go ani wiatru, w który człowiek płaczący się rozsypał. I szedł dalej, aż zamienił się w drzewo zielone, a po lat tysiącu runął, a po tysiącu jaworem wyrósł, a po tysiącu runął, a po tysiącu dębem wyrósł, a po tysiącu runął —

Oto wstań, Aboonie! i wyjrzyj w dzień, który nastaje.

Oto wstań, Aboonie! czy widzisz tę strzelistą sosnę człowieczą za oknem?!!!

1

Jak gdybyś ciszą znużoną spojrział na światło:
elipsy, kreski i koła
krążące przez krzywe zwierciadło.
Z drugiego końca ciszy nie echo, tyś sam wołał.
Przez dzień płyną już tylko ptaki,
czasem opada liść jak karta proroczych pism.
Możesz pędzącym przez burze rozwianym chłopcem,
możesz już tylko sam o sobie list?

To nie, że lęk mnie zjeżył i płaczę oparty
o kolumny krzyżów człowieczych.
To nie, że ja nie dudnię pięścią w kamień martwy,
tylko że nie znał oczu głębszych niż ten wieczór.

Teraz są te jaskółki zwieszane u powiek
jak odłamki nieznanych gwiazd.
Teraz są chmury — coraz to inne zwierzęta,
maszerujący tętnem las.
To nie, że mi nie była żadna ziemia święta,
ale że cisza znużoną spojrział na światło
i uniósł czas tak mały, jakby to nie czas.

2

Tabuny oceanów płoną na równinach,
równiny są jak niebo, niebo jest jak woda.
Koczują złote smoki po wielkich przyczynach,
po ziemi wstępujące jak po czarnych schodach.
Góry ruszyły z legowisk, góry tak są lekkie,
sypią jak piasek z ręki obłoków do ręki.
W namarszczonym milczeniu jak zwierzęta piękne
mruczą i dymią ostro swoim ciężkim wdziękiem.
Był czas, gdy strach nie istniał, tylko w ciemnym wnętrzu
przewalało się serce jak dzwon pustej studni
i piętrzyło się siłą, jakby krzyk się piętrzył.
Światy tonęły w światach. Dziś w każde południe
słyszać jeszcze, jak gwiazda zatopiona jęczy.

Kto grał na tej fanfarze, wydymał złe morza
pełne gwiazd i błyskawic, i ryb niepoczętych,
huczące w trąby wirów, czerwone jak pożar
od idei wszystkich kształtów i wszystkich zamętów.
Żeby odwalić ziemię, po kamieniu kamień,
po liściu liść oderwać z wszystkich drzew,
zobaczysz wypalone w martwej ciszy znamię —
— naprężony do skoku tygrysi gniew

jak olbrzymia zastygłe ramię.

3

Był czas hipocentaurów, zwierząt zodiakalnych,
gdy niebo rosło z ziemi jak korona blasku.
Te zwierzęta z obłoków jak kosmate palmy
ulepione z namułu i wzdętego piasku.

O świecie muzealny! Skorpiony napięte
jak kusze przed wystrzałem wielkich prawd,
gdy w plusku płetw jak drzewa, w dzikim śpiewie mięty
szedł niebem srebrny komar i jak pasterz — grał.
A pod piosenkę — ciche powtórzenie wrzawy,
szły szeregi zdziwione, jakby ziemią sięgając do chmur,
gdzie w kolebce kotliny, w mrocznych stadach trawy
kołysał się na liściu maluteńki stwór.

I śmiały się zwierzęta — wędrujące góry,
z ostatniego potomka burzy,
kiedy wodził palcami w koczowniczych chmurach
i wróżył.
Marszczyły się i tarły grzebieniami grzbietów
o niebo z ognia pełne dziwnych figur,
podobne zadumanym nad śmiercią kobietom,
sierść obłoków — uszami strzygąc.

W lesie krętych storczyków został mały człowiek,
a był to prometeusz. Rósł, aż go uniosła
wielka woda, i płynął, odbijał od brzegów,
wiosłując jak płomieniem — ognistym wiosłem.

Rosły rany w zieleni — czarne głowy zamków,
 rżały chmury spętane, przemienione w konie.
 Tylko w hosannach wiosny wspomnieniem o wdzięku
 kwitły różowe i złote jabłonie.

Nikt nie powracał drogą. Czekwały dziewczęta
 odnajdując w zwierciadłach zastygłych rycerzy,
 bo wojom — nie pamiętać, kobietom — pamiętać,
 bo tętnił drogą człowiek — który wierzył.

O, twarze światowidów, odynów, proroków,
 o, twarze ciemężonych, którzy szli w takt serc,
 o, twarze tych bez bogów i twarze tych bogów,
 trącające o gwiazdy, o radość i śmierć.

Stał olbrzym w głosie ziemi jak w szacie
 pod piorunami.

Stał olbrzym jak tysiące w rosnącej postaci
 ponad trupami poległych, nad łzami.

Stoi olbrzym pod niebem jak wir
 pełnym mgławic — warczących zwierząt.

Stoi w kompaniach lasów, w dzwonach wielkich lir,
 ustoi — wierząc.

Wariant:

Szukajcie w lasach rzeki echa,
 bogów zaklętych w kamień i żywych
 ptaków w dziecięcych uśmiechach,
 wyzwoleń ludzi prawdziwych,
 zwycięstwa smutnych spojrzeń,
 przywalonych przez granitową noc,
 i buntu, który dojrzał —
 znajdziecie bunt i bitwę, i noc.

5

Wzniesiony dom ze słońca i z szumu dłoni,
żelazny dom.

Cóż, że się zamknie ziemia nad nami
jak zaczytany tom.

Rosnąć dalej w liście i dęby puszc
jak własny pomnik,
zrywać światło pąkami ust,
wyrosnąć murem zwycięskich wspomnień.

Glina jest dobra i jak krew słońca,
jak trawa wszędzie nad nas ptaków śpiew,
a barbarzyńska ziemia z krzykiem rozciągnie ramiona,
przetętnią po nas śpiewne tabuny drzew.

ukończone 24 maja 41 r.

Śnieg

Bóg jest śniegiem, on ziemię połączy
z niebem na kształt liści milczących,
które z drzewa ostatecznych zamilczeń
szczerzą oczy — pół-boskie, pół-wilcze.
Bo tak świecić jak on — ciemnością,
tworzyć razem błędzenie i kościół —
jest nie znane. Tylko ci, co najdalej —
w kręgach białych jego twarz poznali.

*

Jesteś w śniegu, a śnieg oburącz
ogarnąwszy — co w nim zobaczysz,
dotykalne spadnie ciała kulą
i żywymi oczami zapłacze.
Ty w nim ręki skinieniem drążąc,
różowawe ciała kobiet wywołasz,
róg danieli, ptaki jak mosiądz
szybujące w gotyckich kościołach.
I pomników zamyślenie wieczne,
kanonierów o lawety wspartych,
których dawno śnieg wchłonał i przestrzeń,
pokolenia idące, a martwe;
a gdy urny ziemi zadymią,
będą śniegiem bez legend i imion.

*

Taki w blasku niby, a w ciemności
stojąc, płynąc — nie znasz odległości,
bo, co w tobie — za tobą dąży,
co najdalej — to łoża drąży
w głąb spojrzenia, a ziemia w tobie
mrze w kolebce, zaczyna się w grobie.
Ziemię pocznij — odpowie obłokiem,
pocznij śniegiem — ziemią odpowie.
Więc ty w gwieździe się pocznij wysokiej,
przejdź człowiekiem i sznurami owiec,
przejdź morzami jak syn człowieczy,
zgiń piorunem i wrzawą mieczy. —
— Wieczny będziesz — czy się zmienisz w słowo,
czy w grobowce, czy w zielony owoc.

Kulig

Tobie cóż jeszcze? Sań ptaszęcy trzepot
z miast kamiennych nawet wyfrunie,
bo wiosłując ramionami przez niebo
zacziesz w ciszy, skończysz w piorunie.
Może ptaki, nie liście,
może sen,
może dzieci puszyste
jak len;
poprzez kręgi śniegowe prą
w puklach blasku,
w zamęcie rąk.
To w mamutów galopie,
w nagłych łyskach ich kłów,

w lustrach zbudzić się przyjdzie czy w grobie,
na łów gwiazd pędząc, miły, na gwiazd łów.
Noce, dnie obok sanny prą,
jędrne słońca i komet bąk;
to w zdumienia, to w cienie snów,
na łów gwiazd, towarzyszu, na łów.

*

My, czy w gospodzie na dróg zakręgu,
czy w ciemności staniemy na koniec?
Przeżegnamy się drzewem? czy ręką?
Staną gwiazdy parując jak konie.

I rozżarzą się polana w kominie —
błękitnawe, purpurowe kolumny,
a ten komin — wielki jak niebo,
a te drwa jak płonące trumny —
będą z wolna jak róże złote
przekwitały, rozwijały płomienie,
aż się staną jak niegdyś — potem,
ludzką krwią i ludzkim kamieniem.

*

I w szkielety czarne zapatrzeni
powrócimy z powrotem do ziemi.
Tylko śnieg, co jest Bóg i rzeczy płynność,
co nad ciszę i nad krew niewinną,
elementy spopieliałe połączy
z niebem — na kształt liści milczących.

dn. 8.XII.41 r.

Poemat o Bogu i człowieku

Ewokacja I cz.

1

Scena. Po bokach grają aniołowie
czy dwa szkielety opięte w mosiądz?
Mają półkule niebios na głowie,
na niewidzialnym oparciu słowie
grają bez głosu.
Pośrodku krwią płynęło,
potem ogniem i siarką,
potem zielenią, a potem
bielejąc opadło martwo.
Droga bezkolorowa i czysta,
w poświacie gwiazd srebrzysta,
którą zakłęcia ludzkie
na ziemi mleczną pierś
prowadzą Boga skutego
w słabość i śmierć.

2

W gontynach długo prosili,
długo łkali w katedrach,
w próg chmury głową bili,
przez księgi i krzyże się wili,
aż się Bóg z ciszy wyzebrał.
Zbierał się w ustach ludzkich

słowami kolorowemi
i stąd nabrał barwy krwi,
a rąk podobnych do ziemi.
Zbierał się w ludzkim czynie
kującym na dobro i zło,
więc oczy miał ludzkim podobne,
a ręce kwiatom i kłom.
Zbierał się długo pod kulą
zamkniętą na każdy głos,
więc w końcu w ciele się uląkł
dymiącym jak zgasły stos.

II

1

Właśnie grzmiała epoka, bo z tysiąca dział
wystrzelona, opadła, wybuchła jak ptak,
z trąbek mosiężnych strumień kwiatów się lał
i wiądl, na żelaznych niesiony kłach.
„Czy to lodowce? — myślał Bóg —
jak hełmy zielone suną,
czy to się chmur tak wygiął łuk
i deszcze złota runą?”

Ale nim się przypatrzył szeregom,
nim kaski rozpoznał i szklistą broń,
szedł żołnierzem po chrzęście śniegu
w kaskadach żółtych trąb.

2. Śpiew o żołnierzu Bazylim

Dziwne przemiany. W glinie leżąc
pod niebem do serca obnażonym ogniem
widział żołnierz Bazyli kolumnady zwierząt
rysowane iskrami trwogi.
Pod kloszem hipnozy czuł, jak się kładą
na stopy, na dłonie plamami znaków,
jak mu się palce dziesięcią robaków
wiją pomiędzy trawą.
A głowa jak szczur ogromny
piszcziała ślisko znad kłębow snu
lub się sam korpus czołgał
po krzyżownicach dróg.

3

Na kłębowisku jelit syczących
mózgi jak kulki rtęci pryskały,
a wtedy rosły żelazne kłacza
w ogniu poczęte — i kamieniały.

Widział Bazyli płonąc od lęku
postać z powietrza kutą i głazu,
która na tarczy nieba uniosła
czerwone nici ziemi obrazu.
Na tej kopule spłaszczony martwił
trup zielonkawy, a spod powieki
krew mu się lała, a ciemność z gardła,
i stał, pół-grozą tak, pół-człowiekiem.

I mówił Bazyli ustami białymi,
jakby motylem wgniecionym do ziemi:
„Ach, te tablice, znane mi, znane,
kiedym je w ogniu złocistym począł
i przykuł na nich jak przykazanie
te dwa balony śmiertelnych oczu.
Ach, przez jakiego mówiąc mojsza,
jakim ja ludem teraz zrozumieć,
jakże ja ręce ścięte rozgrzeszać
mogę i drogi budować z trumien?”

I nie miał ciała żołnierz Bazyli,
tak mu się sen proroczy wyniósł,
że mu zostały ręce na czynie,
nogi na ziemskim łuku nachyleń.
I powłókł w miasta strasząc i grając
na dwu piszczelach czy na dwu włóczniach,
gdzie go ładowne rzeki mijają
jakby pokoleń martwego ucznia.

Przesłanie:

Żołnierz Bazyli w polu przystaje,
czeka u dźwierzy; ręce nad krajem,
gdzie mija, w lament rzuca i wznosi
i tak czekając jest, jakby prosił:
„Idąc przez 10 obcych przykazań
stanąłem 5-tym i stoję głazem!”

III cz. Śpiew o rzeźniku Janie

1

I zstąpił Pan Bóg nowym człowiekiem,
który nie czując śmiał się i błyskał
nożem jak fala różowej rzeki,
z której wynikał i z której tryskał
w świat. Był to rzeźnik Jan, który nożem
najtwardsze czaszki krajał jak orzech.

2

I widział co dzień w krwawym poranku,
jak mu się ziemia toczy spod nóg
i jak się słońce gotuje w garnku
wszystkich kolorów. I myślał: „Bóg
jest właśnie w takiej czerwieni płynnej,
na pół surowej, a pół dziecinnej”.

3

I głaskał połcie różowe, które
jak łuk prężyły się z dołu w górę
i czerwonymi łzami chrzęściły,
plaskiem o dłonie, węzem się wiły
i zastygały znakiem czy sznurem.

Więc klepał mięso rzeźnik wesoly,
rąbał, rozwijał jak lot motyli,
nożem magicznie jak ptakiem kwilił
nad masą gładką; wtedy pod nożem
kwitły łańcuchy, psy i obroże,
rośli prorocy, ludzie i tłumy,
jakby kolumny jego zadumy,
dzwoniły w szyby, kwitły i rosły
pod ostrzem, jakby pod krwawym wiosłem.

4

A potem dzień się topił jak świeca,
jeszcze się pożar ostatkiem wzniecał,
huczał płomieniem horyzont szklany —
i widział rzeźnik pożar firanek
i mięsa pożar, które się tliło
od blasku słońca i snem dymiło.

Wtedy w poduchach grubych odjeżdżał
Jan-rzeźnik szparki, a w okach stawał
ogromny upiór, czerwony, śliski,
który bez twarzy, jak mięsa kawał
prowadził hucząc w piszczel okaryn
czerwone owce i woły wszystkie,
odarte z ciała trupy i mary.
A potem jeszcze widział Jan w grozie
twarze przyjaciół, które pod nożem

jego zamyśleń traciły korę
i klekocące szczękami chorał
stały u szyby jak płaty mięsa
dymiące juchą, w lęku się trzęsąc.
I płakał rzeźnik Jan, aż tak zmałał,
że go uniosło łóżko jak fala
i w śmierć go niosła. Wtedy się zbudził:
miał twarz i ręce jak wszyscy ludzie.
Bóg wyszedł z niego, więc wstał i poszedł,
by nosić słońce poranne koszem.

Przesłanie:

Rzeźnik Jan chodzi z nożem i nosi
słońce czerwone w wierzbowym koszu,
staje u dźwierzy i ręce krwawe
wznosi, opuszcza, wyciera w trawę,
ale się słowa żadne nie rodzą;
więc mówią tylko, że parną nocą
rzeźnik objąwszy słoniny połec
stoi płaczący u wrót kościoła.

IV. Powieść o kobiecie

1

Więc wstąpił Bóg w ciało,
w którym kwiaty płyną
i które dojrzało
jak owoc roślinom,
i które dojrzało
powietrzu i ciepłu,

aż prętem sprężystym
w zwierciadle zakrzepło.
Płynęły mu z ramion włosy w sen,
w sen nieprzytomny, pół-metalowy,
który poczynał się w blaszkach drzeń,
a kończył się w kolebce głowy.
Krew płynąc marmur różowy wiąże,
wydyma w storczyk skrętów i schyleń
i zamykana, łechcąc i drążąc,
wykwita w ustach — krwawym motylem.
Noc się nadyma w naczyniach ud,
w dłoniach się kończy ptasim trzepotem,
kipią w powiekach krople nut
czy krople nieba dojrzałe złotem?
A wtedy wstaje i w tańcu płynie
depcząc zielone gwiazdy i cienie,
aż się ustoi w ciepłym jaśminie,
jakby na progu wniebowstąpienia.

2

A potem cicho w zwierciadle stoi
i słychać prochu lecący kosmos,
wtedy w różowym łuku powoi
czarne szczeliny powoli rosna.

Więc zalękniona wydziera z siebie
płatek po płatku — dziecko — by dalej
z prochu powstałe zeszło na ziemię
i niosło ciało przez noc i fale.

3

I tak się z wolna przeradza w owoc
pieśnią żywiczną, nutą lipową.
I warg go uczy, kształtów go uczy,
leje weń oczy złotem ustałym,
zamyka gwiazdą jak srebrnym kluczem,
aż się z rośliny wywiedzie — ciałem.
Aż zolbrzymieje; pełne, chlupocząc
płynem magicznym, odchodzi w taniec,
aż tryska kolor z dłoni i oczu,
aż się zamieni z powrotem w kamień.
Ona zostaje zmieniona w posąg,
który poryty ogniem i rosą
sypie dmuchawcem i widząc koło
odarte z barwy, w czasie huczące,
zmienia się z wolna w przestrzeni kolor,
gdy w martwą urnę napływa słońce.

Przesłanie:

I powiadają, że w słońca racach
całkiem oślepla chodzi nad morzem
i szklanym prętem zgaduje drogę.
Wtedy w przestrzeni ognisty orzeł
i pożar znaków, krwawych wyroków,
spada w płomieniach, a potem spokój
zalewa szarym woalem chmury
i deszczem śpiewa z dołu do góry.

V. Pieśń o muzyku

Zbudził się Pan Bóg w pół w kołysaniu,
jakby na tratwie zielonych chmur,
w ciele, co było podobne graniu
multanek srebrnej piły gór.
Jednak w człowieku się zbudził i dłonią
wodził po skrzypcach, głąskał miłośnie
struny kwitnące białą jabłonią
wszechmożliwości otwartej na oścież.
Wtedy oparty o pejzaż lekki,
o ramę, w której rodził się śpiew,
widział: w powietrze napływa krew
i w kształty stygnie wiotkie i miękkie.
Potem ze skrzypiec otwartych ust
ciągnął się pochód roślin i form,
wyjeżdżał z trzaskiem wielki wóz
i lodem gwiazd po ziemi dął.
Rwały się kształty i w przestrzeń lały
jak kolorowe łodygi chwały.
Szły pochodami, aż nagle w lęku,
czy to spłoszone, czy mistrza ręką
w noc nie złożone, kolumną cieni
jęły zawracać grzmotem po ziemi
i w skrzypce wpęłzać, aż pękły z trzaskiem
i rozsadziły je krwią i blaskiem.
A potem stopy z żelaza lane
stawiły gryfy, konie, tytany,
na palcach wiotkich jakby z promieni,
którymi muzyk stworzył je z cieni.

I tak zdeptany został, a w chwale
szły urojone pochodów fale.

VI. Epilog

Jest scena. Obok aniołowie grają
jak dwa obłoki opięte w mosiądz;
głowy znużone w skrzydła skłaniają,
grają bez głosu.

Pośrodku droga. Po niej powrócił
z ust pozbierany, z czynów wyrwany
Bóg, który w ludziach błędzący — ucichł
i znów bez ciała zawisł — nieznany.

Oto jest pieśń jak sen pod powieką
nalany trwogą —
tak Bóg cierpi w człowieku,
a człowiek w Bogu.

ukończone dn. 5.I.42 r.

Wesele poety

Poemat

Basi

Śpiew I

Co się zdarzy przy drodze — nie wraca,
i to, co w wieczność odchodzi — ginie.
Nie płacz, nie płacz, zawsze pozostaje
urojona podróż po obłokach.
Nie płacz, zawsze jeszcze zostanie
tabun drzew niby masztów ze złota,
jeszcze pragnień w powietrzu śpiewanie,
jeszcze w trawach wędrówka zostanie
albo grób — z niego jodłą wyfruniesz.

Śpiew II

Może przeminą gody ludzkie,
gody burzom płomieni podobne,
ale to, co w nich ptakiem zostało,
pozostało i będzie wołać
jak na drzewie, jak w gałęziach twoich,
które z kory zielonej obedrze
człek lub wiatr żelaznym obojem,
albo nawet mijając je zetrze
jakieś z lodu błękitne powietrze,
ale to, co w nim ptakiem zostało,
to jest dusza nad prochu ciało.

Śpiew III

Nie zapomnisz, nie zapomnisz skał,
bo się skałą w tobie zaśpiew stał,
bo gdy kochasz, a kochasz przez przestrzeń,

choć tak blisko, żeś się morzem złał,
toś wrysował się ogniem w powietrze
i nie zejdziesz, ale będzie trwał
ten korowód, w którym coraz inny,
malowany na chmurze i wodzie,
jakby ty w twoich cieni pochodzie
tak w powietrzu zastygniesz płynny
i choć gwiazdą byś nawet grał,
pozostaniesz, nie zapomnisz skał.

Dom poety

I

Tam jest zawsze jesień,
pod krużgankiem drzew
zbiera złote jabłka
różowawy lew,
Tam jest zawsze zima,
w chmur lodowy łuk
modry łódź unosi
gałąź białych snów.
Tam jest zawsze wiosna,
na dymiącą ruń
ptak zielony zrzuca
skrzydła rudych łun.
Tam jest zawsze lato,
od zmarszczonych rzek
żółty niedźwiedź zwraca
ryty w miodzie łeb.

II

Oto dźwierze wiatrem rozwarte na przestrzał,
kute w ciężkim metalu powietrza,
ponad nimi dzwony liliowe, nad niemi
drzew korony jak zielone ręce ziemi.
A nad furtą chodzi niby paw
herb w koronie z purpurowych traw.
Wozem ani karetą tam nie zajedziesz,
bo do dworu nie droga — strumień wiedzie,
po nim złote łabędzie — w ich biegu
sercem spłyniesz — i staniesz na brzegu.

III

Wtedy będzie jakby kniei płynność,
pół-zielona, a pół-brązowa,
która z wolna pod wzrokiem się rusza
żółtym puchem leżących tam zwierząt.
Więc niedźwiedzie łagodne unoszą
złotą mądrość dojrzałych głów,
więc jelenie, więc wilki i sarny,
jakby zioła naprężonych snów,
porastają lawinami brzegi
i czekają milczącym szeregiem
na twój miękki spokój zapomnienia.
I jak z arką płyną za domem
pod skupionym słońcem wszystkich pór,
a czas przez nie przepływa i szronem
stygnie z wolna na ich wiecznym śnie.

IV

Dom jest jasny, zbudowany z blasku,
jak powietrza bańka, która w wiewiórkę
księżycowym rybakom uwięzła
i ma ściany jakby z roślin i światła
i z jeziora pułap czy zwierciadła,
które gwiazdy odbijając wróży
do muzyki podobne i róży.

V

Tam się wiedzie miłość wszechstworzeniu
jak łądyga różowego zioła,
która rośnie w takim zamyśleniu,
że podobna jest sklepieniu kościoła
w stylu ptaków, a te wkoło licząc
krople głosu — są harfą słowiczą.

Otwarcie

Już wiał wiatr trzy razy, a zatem
most zwodzony zieleni opada
i w wierzeje przechodzą kwiaty,
sny i ludzie, zwierzęta i łuny,
a nad nimi ptaki ciche wieją
jak w milczeniu zamknięte nadzieją.

O witajcie! kapele cykad
grzmia, w powietrzu kując kopuły,
noc w girlandy ustrojona dzwoni,

a na przedzie, wśród zielonych koni,
widzę dzban niosącego Wodnika.
Za nim smoki purpurowe suną,
na nich ludzie, którym Pismo mówi:
„Gdy tysiączne ominiesz zakłęcie,
na okrutnym smoku jeździć będziesz”.

Powitanie

„Gdzie on?” — wszyscy pytają i dzwonią
w złote jabłka pod kwitnącą jabłonią.
„Gdzie on?” — w trawy naprężonej lutnie
uderzają zdziwieni i smutni.
„Gdzie on?” — wszyscy ręce w zdumieniu
wzniesli nagle nad otwartą ziemią:
Ni w kolebce tam siedział, ni w grobie,
ni to dziecko, ni elf, ni człowiek,
a rączkami uderzał w grzechotkę,
w której z wolna z lękiem rozpoznali
czarnych niebios świecącą emalię,
na niej morza się łoskot przewalał
i zmarszczonych łądów biała fala.
A on siedział i do siebie gwarzył,
do narcyza podobny z twarzy.
Nad nim panna. Ach, tej nie wypowiem,
coś jak liści szum i fali ciało
i jak życie nie zamknięte w słowie.
Więc, gdy wszystko nagle zawołało:
„Gdzie on?” — rzekła ręce splatając miłośnie:
„Jeszcze mały”. Zawołali: „Cóż się stało?”
„Nic, do nocy, do wesela — urośnie!”

Uczta

Wej! upili się, a setnie upili,
dziw, że gwiazd na szklanych kręgach nie pobili.
W jednym dzbanie był zielonobiały
mus lodowców, które już dojrzały,
w drugim dzbanie glinianym podali
sok różowy z krwi i koralu,
w trzecim noc na poły z mlekiem zmieszana.
Wej! upili się, a wstali aż rano.

Taniec

I

Pod muzyką świat zamknięty
brzęczy tak
po jeziorze jak po strunie,
czy po lipie, czy po łunie
ciągnie złota dłoń czy ptak.
Drzewom śpiew — pod drzew zadumą
wodny ton.
Ptaki śnią, czy we śnie niesie
modry jelen tan po lesie
w koła łąk.

Ulatują lutnie — na nich
lilie gam, lilie gwiazd,
i cieniami w złocie grając,
łądy, drzewa omijają
brzeg płomieni — żółty las.

II

Unosiły się jelenie i sarny,
wiały lotem migotliwym i sennym,
zanosilo grzybami i ptakiem
na zielonych polan uciszenie,
aż wiatr począł wznosić szkliste dłonie
i rozgrzane kształty z wolna studzić,
więc stawały niedźwiedzie i konie,
i łasice zastygały z wolna,
aż stanęły i w posągi żywe
zamieniły się, a rude śliwy
obrzucały ich w stygnący czas
ulewami niedojrzałych gwiazd.

Noc

Szyby deszczu zamknęły noc
rozdzielając światło i świat.
Śpiewał jeszcze jakiś obłok przelotny
i mijały ulewy lat.
Niebo rosło tylko. Jeszcze mniejszy
w trzaskających burzach magnetycznych
tulił ciepło wiolinowych ramion
i obłoki nalewał w policzki.
I tak nadzy, w pierwotny czas
zasypiali zatuleni w futro
podpalonych gwiazdami niedźwiedzi
i wiewiórek łuskających lata
jak orzechy z zielonej miedzi,
i kołysząc się w ziemi kolebie,

wyrastając z niej i w siebie rosnąc
obudzili się w ptasim niebie,
w które lilią wywiedli się prosto.

Śpiew końcowy

Ciała, które przechodzą, czym są?
czym to przemijanie, nie wiesz.
Ziemia podobna kataklicznym snom,
odbita przezroczyście w niebie.
Ani w tym strumieniu przeminie,
ani w ludach, które przejdą w czas
jak piasek w starożytnych klepsydrach.
Ani wiatr, ani cień tak ogarnie
ich wianie nieustannych płaszczyzn.
Pozostanie, zawsze pozostanie
odbicie w niebie czy chmurze,
a chmury spadając — powrócą,
a niebo wznosząc się — spadnie
choćby deszczem, a w każdej kropli
pozostanie maleńki obraz.

rozpoczęte dn. 17.I.42 r.

ukończone dn. 18.I.42 r.

*

*

*

I

Ach, umieram, umieram. Jesień
cień unosi na ciepłe ogrody.
Jabłka tak już, śliwy, ciemne wody
namarszczają się w znużenia pieśń.

O! nie trzeba mi tu było więcej
ponad drzewa, ponad serca czułość.
O! nie trzeba było lat, miesięcy,
tylu skarg nadaremnych i słów.

O! nie trzeba było tylu twarzy,
tratujących wozów czarnych miast.
Ach, umieram, umieram. Wiem:
wyje za mną ciemny, wielki czas.

II

„Podaj mi rękę” — mówił anioł,
a był to świt jak uśmiech dziecka błądy.
„Oto się unosimy z daleka wołaniami”.

Słyszać było powietrza srebrne wodospady
i cichy duchów poświst teraz mi wiadomy.
Płynęliśmy. Pod nami stały mokre domy
w chłodnym deszczu zastygłe. Szelest cichy mył
zielone okiennice i dachy znajome.

Spali jeszcze. Przed oknem tylko długo wył
pies — czując rękę świata, co stał nad znikomym
krajobrazem przedmieścia. Muzyki nieznane
grały słodko u chmurek wąskich. Niedaleko
spadały białe kwiaty i cień płynął rzeką.

III

„Kochani, o, kochani! Czy jest takie serce,
które przeżyje miłość na świecie kainów?”
Anioł przykładając dłonie liliowe do ust
i mówił: „W takie serce będę teraz niósł
twoje zmęczone imię, w proste serce Boga,
co jest jak gór zielonych dolina dla owiec
i jest jak sen nagrzanym i biały grobowiec”.

Już widziałem motyle w powietrzu wykute,
skinieniem jego ręki z kwiatów ciepła tkane
i posągi ogniste nie dotknięte dłutem,
rosnące, jak je wiatry składały, i same
gwiazdy na strop puszczone jak litery praw.
I spadała wtedy pierwsza przezroczysta łza
z powieki na te kształty ziemi, gór i drzew,
łza, żem zrozumiał jasność. O, jaki to gniew,
jaka nienawiść była, co zamknęła wzrok
i jeno złe kamienie wkładała do rąk
każde pragnienie jak grób kładła przy mnie,
abym nie widział światła w każdym ptaka hymnie,
w każdym liści schyleniu, łaskawości łąk.

IV

A tam się dzień zaczynał. Na fujarce dął
proste pieśni aniołek u kościoła wrót,
a potem się rozkładał dym i mówić jął
anioł bladoliliowy: „Oto widzisz głód,
oto widzisz nienawiść i tę pychę złota”.
Słyszałem — płakał jęk jak jęk bolesny młota,
który z uporem obok przy kowadle bije
i gniecie, a żelazo boleśnie omija.

Szli czarni, wychudzeni, z błyskiem żądzы ślepych,
jak nędzne i żałosne, milczące pogrzeby,
i tratowali łąki, i nie znali wrót,
aż im się pod nogami ocknął nagle grób
i tak jak stali patrząc, wytężeni w gniewie,
spadali w chłodne studnie. A ten, który nie wie,
bo nie pragnie przerażeń, stał i patrzył syty,
jak mu się obracali pod wzrokiem w granity,
jak kruszeli, pragnący, w gorzką, czarną glebę.
I była ciemność. Nie wołał nikt pod niebem.

Widziałem jeszcze owe madonny i dzieci,
napadnięte w ulicach, odarte z uśmiechów,
z miłości i spojrzenia. O! czułem, czy wiecie?
ciężar ziemi na sobie, ciężar wszystkich grzechów.

I wtedy spadła druga łąa, jak ognia płomyk,
na te uśpione jeszcze w mgle i grzechu domy
i wspomniałem się, grzeszny i skrzywdzony razem,
i ta łąa nie płomieniem już była, a głazem,
głazem boleści. „O, czy jestem jeszcze

tyle martwym człowiekiem, a nie duchem żywym,
że ja tej wagi ciemnej w Bogu nie pomieszczę —
— najgorszego z grzeszników płaczącego z krzywdy?”

Anioł dłonie w kwiat złożył i nie mówił nic,
jeno mu z włosów jasnych splot muzyki płynął,
a ja widziałem miasta pękające w pył
i ludzi w proch idących, a na nich jaśminy
rosły, a potem wody kładły się pierzaste,
a na nich ludzie nowi płynęli i miasta.
I pokład na pokładzie, jak schody wieczności,
piął się z wolna ku górze ten milczący kościół.

I mówił anioł: „Nie płacz, nie płacz czasów złych,
ni dobrych nie płacz czasów. Oto idą w pył,
nim się troską poniżą, podźwigną miłością,
są z niebem rozdzielone wieczną wysokością.
Jeno słupy ogniste, długie nici wiary
są jako tryskające z tej ziemi pożary,
które stoją nad czasem od ziemi do nieba,
wykołysane światłem łodyżki snów bożych,
które się nie ulęką gwiazd ni śmierci trwożą”.

V

I lecieliśmy dalej. „Podaj — mówił — dłoń”.
I szły potoki iskier na górach obłoków,
i rzeki w dole pełzły na kształt siwych smoków.
Nie śpiewali już ludzie ani krople łez
nie parzyły mi dłoni. Było cicho. Wtedy
zobaczyłem skrwawione ptaki, pod tym niebem
szukające schronienia. Mówił anioł: „Patrz,

oto jest nadaremny twoich bliskich płacz,
oto są ptaki serca nie przyjęte w miłość.
Zobacz, jak krwawią cicho. Ile to ich było,
których ty nie dojrzałeś, któreś przebił w locie
i nim cię doścignęły, nim osiadły w tobie,
były jeszcze grające pieśni, a już w grobie.
Oto ulatywały ptaki dobre, miłe
bożemu światu pragnień, a już je przebiły
złe, podejrzliwe oczy, a serce namiętne
zmieniało je w kamienie Bogu tylko święte”.
I widziałem ich loty jak smugi zbłąkane
znaczone krwi poświęcą. Wtedy anioł z dłoni
wypuścił sznury światła na nie i przemienił
w białe gwiazdy, krążące z daleka od ziemi.

I wtedy spadła trzecia łza, żelazna,
na smutek krążeń ludzkich, na huczące burze
i stała się tam, w dole na kuli jak gwiazda
wykuta pożegnaniem ostatnim — w marmurze.

Grało niebo spokojne. Fałdy morza
przelewały się z wolna w głąb milczenia
i został tylko cichy pożar —
— bolesna w dole ziemia.

Jeszcze dzwonek na wieży,
sarny w locie i obłok,
wietrzyk dzwonił i gasł.
„Podaj mi rękę — mówił anioł —
oto się stajesz zapatrzaniem gwiazd”.

ukończone dn. 12 października 1942 r.

Wybór

*Uczyniwszy na wieki wybór,
w każdej chwili wybierać muszę.*

J. Liebert

Noc zielona była, po dniu skwarnym
głębokość jej szumiała jakby liście czarne,
w których mleczny rdzeń wyrósł, i kroplami gwiazd
odmierzał się powoli nieostrożny czas.

Maria czekała cicho. I zdało się, płynął
świat ogromny w oddechu nieba jak otchłanie,
co wiało wielkim oknem na stół, na postanie
białe i nie dotknięte. Czekwała. W milczeniu
na piersi ręce kładła i wtedy się pienił
krwi jej rozgrzany napój i owoce mleczne
pęczniały jej pod dłonią, i czuła, jak bije
bolesna piąstka serca. I czuła, że żyje
łodyżka w niej maleńka, listeczkami dwoma
obejmująca miłość całą, jaką ona
i on zamknęli w sobie. I gdy rękę niżej
obsunęła, poczuła, jak ją szorstko liże
płomienny język ciszy. Brzuch miała jak kroplę
ogromną, w rozłożystą misę biodr zamknięty.
W takiej ciszy słyszała, jak na godzin stopnie
pnie się w niej ten roślinny puch, twardnieje w orzech —
— to było dziecko małe, które wkołysali
ciepłym ciał swych pomrukiem jak szelestem morza
w jej pełni i dojrzałość, która równa ziemi
ogarnęła i rosła rączkami drobnymi,
zarysem ust różowych, roślinką maleńką,

którą czuła pod lekko wyciągniętą ręką
i która dziś się spełni i wszędzie człowiekiem
nad przymrużoną lekko ziemi złej powiekę,
żeby się stać czym? kwiatem, powłoką czy łzą?

A on był z nimi razem. Drzewa niebo niosły
i jak rybak, co trąci nieostrożnym wiosłem
tataraki — i kwiaty podwodne ukaże,
tak wiatr obłokom zwijał nachmurzone twarze
i odsłaniały gwiazdy czystsze od pian bieli.
Oni stali bez ruchu. W ciemności widzieli,
jak z wolna ich otacza wróg, a hełmy lśniły
jak łuski wielkiej ryby, która nocą drąży.
Jan stał pośrodku, cichy jak wielki chorąży,
który sztandar przedśmiertny ogromnych niebiosów
unosi. Jego głowa i płonące włosy,
w których gwiazdy spalały ostatni swój płomień,
stały w sklepieniu nocy, w milczenia ogromie.
Tacy byli żołnierze, którzy bez mundurów,
w cywilnych czapkach, z bronią zza pasa wydartą
stali u serca ziemi jak burzliwe chmury
przeciw wierze bezsilnej i miłości martwej.

A tamci jeszcze bliżej. Więc ujęli w ręce
broń jak rzeźbiarz, co dłuto ujmuje z namysłem,
aby wyciąć nagrobny pomnik, w takiej męce,
w takim bólu krzesany, aby czyny wszystkie,
wszystkie cierpienia i burz grzywy wciosać
w pomnika twarz, ramiona, w usta i we włosy.

Więc runął łańcuch strzałów. Najpierw po ogniwie
sypał się na bruk dźwięcząc, potem coraz ciężej.
I świst, jakby jęk łuku zerwanej cięciwy.
To ziarna kul jak długie, rozpalone węże.
Ulica była ciemna. Bił głos. Z okien nisko
złęknionych oczu płatek. Od krwi było ślisko.
Sypki grzechot o ściany. Potem świst. Schyleni,
przypadali głowami — jak do dna — do ziemi.
Pocisk. Więc ciemność drgnęła, odprysło od bruku
i rozerwani na sylwetek palce
pełzali naprzód, już się gięli w walce:
to przypadną i bąki ostrych strzałów grają,
to z granatem w powietrzu bez ruchu przystają,
oczy szukają szybko, potem chmura tryśnie
i jeszcze większa ciemność w powietrzu zawiśnie.

Jan widział ciała ciemne i jeszcze raz nabił,
i jak odporne zwierzę długo w dłoni dławił
broń. Znów trzepotał skrzydłem ołowianym
zerwany łańcuch strzałów. Potem granat w górę
trysnął i raz na zawsze zamilczał w ciemności
zmiażdżony bruk i bezruch czarnych ciał.

On jeszcze chwilę wyższy jakby stał
u ściany, przedłużony cieniem, potem skośny
jak kostur, co przy murze postawiony czeka,
ruszony, upadł. Tylko plusk bezgłośny
zamknął się nad nim cicho. Noc się jak powieka
zmrużyła i zapadła. Jeszcze gwiazd ulewa
zza chmury wynurzona opadała w drzewa
i łopot strug ciemności wydymał się w wietrze,
i stało skamieniałe nad światem powietrze.

Więc cisza ogromna się stała jak woda,
ciemna, głęboka i ciepła, wchłonęła kształty i świat.
A anioł lekki nad ziemią cicho mu rękę podał
i szli wysoko, w obłoków rozchylający się kwiat.
I już się Jan kołysał nad ziemi dnem wypukłym,
kiedy dom w dole ujrzał, i łyzy jak ciężkie gwiazdy,
pełne obrazów zmieszanych, w dół spadły, rozprysły się, stłukły.
I począł ciężyc w dół jak próżny dźwięku dzwon,
bo widział Marię białą jak brzozę w burzy zgiętą,
schyloną nad dzieciątkiem w ogromnym lustrze lęku.

„Podaj mi rękę — mówił anioł — bo jeszcze jeden krok,
a trwoga cię ogarnie i spadniesz suchym liściem
w drapieżną czułość ziemi, w pożary ludzkich rąk,
w jezioro mroczne czasu podobne ciemnym snom.”
Znów się muzyki ciepłej płomyk zapalił biały,
a on strwożony jeszcze, choć w górę lekko szedł,
zapłakał: „Czym nie zgrzeszył odchodząc od cierpienia,
odchodząc, kiedy za mną bolesne kwiaty wiały
jej dłoni i jej oczu uderzał motyl trwożny,
i do jej stóp maleńkich przykuta ciężka ziemia?
Jam szedł za tym płomieniem, co pali nieostrożny
i nieobaczny na nic”. A anioł mówił tak:
„Tyś był miłości wiernej nierozdzielony ptak,
który miał tyle serc, ileś twych braci miał,
i z każdym serc powiewem twój wielki płomień drzał,
i uczyniłeś wybór po wszelki świata czas,
jakże chcesz, żeby w trwodze o jedno ciało gasł?
Bo dusza jej to strumień, srebrzysty, żywy ton,
a nie napłynie otchłań w zielony, boży dom”.

I znów się ciszy całun w muzyki krąg układał,
a znów go strwożył czas i mówił: „Nim dorośnie
dzieciątko, czym się stanie, czy groza go nie wchłonie?”
A anioł wziął go w ciszy mocno za obie dłonie
i rzekł: „Czyś ty zapragnął krzyżować smugi dróg,
które wydrążył przed nim ognisty boży pług?
Ale wiedz: kto zaufał, gdziekolwiek niesie lot,
miłością poodziela od miłowanych zło”.

Wtedy się serce Jana skruszyło w miękki popiół,
to serce, które z duszą porwane — ziemskie było.
I próchno się na ziemię jak rosa albo łza
zsunęło. Nisko w dali fala chmur białych szła.
Jeszcze dzwonek na wieży.
ptaki w locie i obłok,
wietrzyk dzwonił i gasł.
„Podaj mi rękę — mówił anioł —
oto się stajesz zapatrzaniem gwiazd.”

Ukończone 14 września 1943 roku,
pisane w miesiącach: maj, lipiec,
sierpień, wrzesień 1943 r.

III

*

*

*

A my kawalery błędne

C. K. Norwid

Czarne cheruby kołyszą widnokrąg.
Konno, na koniu przestrzelonym przez wiatr.
Ziemia oddycha już wolniej i mokro,
wroną leniwy kracze trakt.
Otom jest rycerz średniowiecza. Drogi
prowadzą wszędzie naraz, a ptaki jak liście
oderwane gałęziom. Biją o ostrogi
kroki traktów, przy drogach płaczą białe wiśnie.
Dni wypęzły, do zamków daleko,
a jelenie z lasów wychodząc patrzą lasem.
Przystanę nad bezludną jesionową rzeką
poić konia zielenią i czasem.
Jakież to drogi wypraw? dzwoni cicho niebo.
Pośród liści szeleszczę jak sen o wygnaniu.
Tyle wieków minęło od mego pogrzebu,
tylu ludzi umarło przy ostróg mych graniu.
Mnie nie wolno umierać. Nie jestem upiorem,
tylko wspomnieniem o sobie, trwożliwym zwierzeniem
królowny o zielonym spojrzeniu. Toporem
rozrąbuje gałęzie przed sobą i siebie, a wieniec,
wieniec liści jesiennych kołuje nad czakiem.
Jakie mi góry szklane koń wystuka z podków?
Gdy gwiazdy nieostrożnie przemienione w ptaki
za włosy mnie prowadzą pod melodię słodką.
Jakie tętnią mirażę? Oto rosna baszty
zasiane dłonią tęsknot, śpiewniej słyhać głos twój.
Oto wieże kołyszą wyskmuklej niż maszty.
Ach, nie wróć już do was. Trakt się zbliżnił ostem.

listopad 40 r.

Piosenka

Ja: cień, który zgubił człowieka
w dalekich miastach zdarzeń,
podniesiony do potęgi nocy,
chodzę w czwartym wymiarze.

To pieśni zardzewiałe dymią,
ulata anioł ze światem w dłoni,
kiedy zgarbiony od wspomnień
odmawiam tysiąc płatków jabłoni.

Dziś: jak co rok —
zarasta chmury ludzi gęsty las,
anioł ze światem w dłoni odlata —
czas
przejsć nad ziemią
do porządku wszechświata.

lato 1940 r.

Żal

Pościnano drzewa światowidom,
ścięto głowy buntom dziecięcym,
bo nie przyjdą anioły z ptasich puchów, nie przyjdą.
Oto nóż szafotów do chleba. Cóż więcej?

Zatroskane madonny mdleją;
jakbyś podniósł ziemi upiorną powiekę,
więc żal mi, żal, bo świat to żal
za utraconym człowiekiem.

II.41 r.

*

*

*

Stąd: niebo jest duże jak niebo południa,
którego nie przepłynąłeś, nie przepłyniesz.
Po salwach dnia wystawiony na cel gwiazdom
miniesz
jak miasta opuszczone w drodze.
Przeoczony,
przeszyty na wskroś przez kule wszystkich wojen,
umrzesz
zamknięty echem małym jak echo czyichś ust,
pomniejszony na poddaszu pokojem.

lipiec 1940 r.

Okręty zimowe

Moje okręty samotne, żałosne jak psy zgubione,
aniście ptaki, ani obłoki spłowiałe.
Na rufach waszych postaci tkane z białych koronek.

Aniście gwiazdy, ani zwierzęta małe.
Kto by was dojrzał w czarnych kwadrygach zawiei,
gdzie tylko miasta stoją ukośne i drżą,
gdy tak spokojnie wpływacie w niebo, co tak się chwieje
jakby kołyska wybudowana cichym łzom.

Przez wszystkie zimy płyniecie ciszej niż ogień,
olinowane cienką rozpaczą nitek pajęczych.
Aniście ptaki, ani obłoki ze snów najciemniejszych,
bo nieporadnie stojąc przed płótnem wyblakłej drogi,
namalowałem w głębi perspektyw płonący, ósmy kolor tęczy.

dn. 16.II.41 r.

Powrót w Tatry

Jak dzień powitać, który smrekiem do chmur odrósł?
— Holale, halom kolędować o pułap nieb?
Gdy potokami krzyk skał ziemię przeszył,
przez upłaz patrzy prosto w oczy — źleb.
Regle kolumnadami — lasem koturnieją.
Horyzont niżej o niebo świat zwężył,
naokoło pejzaż przystanął.
Jeszcze jeden krok, a głową zawadzę o księżyc.

początek 40 r.

Stuletni wieczór

Matce

Wyjść na ulicę w niebieski, letni zmierzch,
dymią fajki jak zapach zielonych brazylii,
gwiazdy jak ryby zabite wypływają na wierzch,
znad gitar — kapelusze jak czarne pluszowe motyle.
Wyjść na ulicę: kołyski zwiewnej muzyki i bajek,
tam grają katarynki jedwabny stuletni walczyk.
Ten niderlandzki obraz z porcelanowych fajek,
z baldachimów dłoni kobiecych i strun kobiecych palców.
Otom dzieckiem, skrzydłem jednodniowych przeczuć.
Jestem tylko chłopcem, który płacze nad zabitym ptakiem.
Nie przeżyłem tylu lat i drzew, co ten wieczór.
Jestem chłopcem, który płacze nad zabitym ptakiem.

koniec lutego 41 r.

Piosenka

Znów wędrujemy ciepłym krajem,
malachitową łąką morza.
(Ptaki powrotne umierają
wśród pomarańczy na rozdrożach.)

Na fioletowoszarych łąkach
niebo rozpina płynność arkad.
Pejzaż w powieki miękko wsiąka,
zakrzepła sól na nagich wargach.

A wieczorami w prądach zatok
noc liże morze słodką grzywą.
Jak miękkie gruszki brzmięje lato
wiatrem sparzone jak pokrzywą.

Przed fontannami perłowymi
noc winogrona gwiazd rozdaje.
Znów wędrujemy ciepłą ziemią,
znów wędrujemy ciepłym krajem.

1938 r.

Wisła

Wisło, rzeko płynąca w przeszłość.
Jak to dawno, barbarzyńsko rudy,
kwitłem na wodzie twojej, po wierzchu
kreślonej w gwiazdy, rośliny i runy.
Jeszcze wiszą widma nad tobą:
— jelenie, wilki, niedźwiedź złoty
i rzeźbiony drewniany obłok —
— rysowany w powietrzu motyw.
Moje dawne ramiona z miedzi,
w których słaby jak w ramie wiszę.
Jestem domkiem, który zaśnieździł
przez tysiąclecia twoją ciszą.
Tylko dotknąć: sypnie się próchno.
Tylko spojrzeć: nawisłe miasto.
Tylko żółty promień został
między tobą a wieczną gwiazdą.
Rzeko snów o zielonym wodniku,
płyną tratwy, kry i przyszłość.
Taki długi żal jak żal skrzypiec,
Wisło.

30.III.41 r.

Sur le pont d'Avignon

Ten wiersz jest żyłką słoneczną na ścianie
jak fotografia wszystkich wiosen.
Kantyczki deszczu wam przyniosę —
wyblakłe nutki w nieba dzwon
jak wody wiatrem oddychanie.
Tańczą panowie niewidzialni
„na moście w Awinion”.
Zielone, staroświeckie granie
jak anemiczne pączki ciszy.
Odetchnij drzewem, to usłyszysz
jak promień — naprężony ton,
jak na najcieńszej wiatru gamie
tańczą liściaste suknie panien
„na moście w Awinion”.
W drzewach, w zielonych okien ramie
przez widma miast — srebrzysty gotyk.
Wirują ptaki płowozłote
jak lutnie, co uciekły z rąk.
W lasach zielonych — białe łanie
uchodzą w coraz cichszy taniec.
Tańczą panowie, tańczą panie
„na moście w Awinion”.

szpital, kwiecień 41 r.

Starość

Otom szary od pyłu tylu wieków,
a zawsze na osiodłanej chmurze.
To sny te miasta wołające: „Człowieku!”
to rzeczywistość: kiedy oczy zmrużę.

Otom tak w drodze długiej zmałał,
że sam ledwo widzę swoją postać.
Tylko dudnią szkice elementarnej chwały.
Śmierć mi wszystkie drogi zarosła.

I coraz mniejszy jestem — jak gwoździak,
ostatni gwoździak — mówią — do własnej trumny.
Trzeba aż tyle nocy płakać z głupoty
i teraz dopiero — mówią — rozumny?

kwiecień/maj 41 r.

Ballada o rzece

Rzeka pachnie jak ryba.
Ryba jest liściem deszczu
oderwanym od białej gałęzi szelestu,
od zbuntowanych okrętów chmur —
A wyginane rybitwy
złożone do wiotkiej modlitwy
ciągną niebem błyszczący jak brzeszczot,
omotujący ciasno sznur.
Rzeka się w niebie odbija
czy niebo rzekę wymija
tocząc kuliste chmury na drugi brzeg?

Brzeg odległy o bulgot —
— stoisz w słońcu wykuta,
wijesz z muszli zielonej
piosnkę na cztery nuty.
Stoisz w łusce i płoniesz,
w ciszy martwej jak smutek
tylko bieli się po niej
piosnka na cztery nuty.

Dokąd idę? po płaskim lustrze
czy po niebie głową w dół?
Rozcinają się sny upalne
nożem fali ostro na pół.
Dokąd idę? czy brzeg się zbliżył,
czy opadłem w obłok wyżej,
czy w ślimaczy, po ustach ciągnący się muł?
Stoisz w niebie, na brzegu czy w lustrze?
Słońce zewsząd zapala się w łusce.
Płynę w lejach — szklisty wodnik.
Rzeka pachnie jak ryba.
W porcie prąd się urywa.
Płynę wodą, piorunem czy błyskiem pochodni
— trup o oczach jak obłok zastygły?

lipiec 41 r.

Jesienny spacer poetów

Jerzemu K. W.

Drzewa jak rude łby barbarzyńców
wnikały w żyły żółtych rzek.
Biało się kładł popiołem tynku
wtopiony w wodę miasta brzeg.

Szli po dudniącym moście kroków
jak po krawędzi z kruchego szkła,
pod zamyślonym grobem obłoków,
po liściach jak po krwawych łzach.

I mówił pierwszy: „Oto jest pieśń,
która uderza w firmament powiek”.
A drugi mówił: „Nie, to jest śmierć,
którą przeczułem w zielonym słowie”.

październik 41 r.

Przypowieść

Matce

Pan Bóg uśmiechnął się i wtedy powstała ziemia,
podobna do jabłka złotego i do zwierciadła przemian.
Po niej powoli się sączą zwierząt dojrzałe krople
wstępując z wód w powietrza — drgające srebrem — stopnie.
A śpiew najcichszego z ptaków zamienia się w miękki obłok.
i wtedy powstają chmury do ziemi i gwiazd podobne.
Więc knieje do mórz przychodzą i kładą włosy na wodę
i wtedy fale się barwią na kolor dojrzałej jagody.
Światło przenika do ziemi, a ziemia blask przygarnia;
bory wrastają w powietrze, powietrze od lasów — czarne.
Zwierzęta wnikają w korę, a kora porasta życie
i niewidzialne, w przestrzeni, wiruje ziemi odbicie.
Wtedy są wszystkie kolory, każdy od innych różny,
które są wszystkie te same pod szklaną kopułą próżni.
I zafrasował się Bóg, że sam swych dzieł nie ogarnie,
więc cisza złożyła się w fałdy, a światło stało się czarne
i z ciężkich kowadeł gór rosły łodygi ogniste,
a gromy w wysiłku kuły zmarszczone w groźnym namyśle,
aż się wykrzesał z kuźni pod niebo od huku białe
z chmur i ziemi ulany — człowiek ciemny i mały.
Teraz uśmiechnął się Bóg i we śnie znużony onemiał,
i do dziś błądzi wśród grozy człowiek ciemny jak ziemia.

dn. 14.XI.1941 r.

Pokolenie

Do palców przymarzły struny
z cienkiego krzyku roślin.
Tak się dorasta do trumny,
jakeśmy w czasie dorośli.

Stanęły rzeki ognia
ścięte krą purpurową;
po nocach sen jak pochodnia
straszy obcięta głową.

Czegoż ty jeszcze? W mrozie
świat jest jak z trocin sypki.
Oczu stężały orzech.
To śnieg, to nie serce tak skrzypi.

Każdy — kolumną jesteś,
na grobie pieśni własnych
zamarzły. Czegoż ty jeszcze?
To śmierć — to nie włosy blasku.

To soli kulki z nieba?
Czy łyzy w krzemień twarzy tak wrosły?
Czy ziemia tak bólem dojrzewa,
jakeśmy w czasie dorośli?

listopad 1941 r.

Bez imienia

Oto jest chwila bez imienia:
drzwi się wydęły i zgasły.
Nie odróżnisz postaci w cieniach,
w huku jak w ogniu jasnym.

Wtedy krzyk krótki zza ściany;
wtedy w podłogę — skałą
i ciemność płynie jak z rany,
i w łoskot wozu — ciało.

Oto jest chwila bez imienia
wypalona w czasie jak w hymnie.
Nitką krwi jak struną — za wozem
wypisuje na bruku swe imię.

listopad, 15.XI.41 r.

Drzewa

Drzewa — to chmur zgęszczenia,
pod nimi dzwoni ziemia,
nad nimi rwą wezbrane
planety z brązu lane.

Lasy — smutku zielone
serca — w szmer przemienione,
pod nimi piły lament
białymi jęczy kłami.

Drzewa — bawoły złote
dymiły rudym potem,
z pomrukiem ciała kładły
ku ziemi, aż upadły.

Drwale w śmiechu sypali
zęby jak sznur koralu.
To piłą — ciszy przytną,
to śmiechu białą brzytwą.

Liście jak oczy wydrą
lśniące zieloną krzywłą,
to korę ciemną z ciała,
aż tryśnie krew dojrzała.

A nocą w sen zagięci —
— w warczący wir pamięci —
zobaczą drwale w lęku,
przykuci nocy ręką,
idące na nich prosto
topory sosen ostre.

22 listopad 41 r.

Z szopką

Górą białe konie przeszły,
trop dymiący w kłębach stanął,
w gwiazdach płonąc cicho trzeszczy
wigilijne siano.

Spoza gór czy sponad ziemi
anioł biały? kruchy mróz?
starcy w niebo nachyleni?
Anioł biały szopkę niósł.

*

Zamknąć tak — to ironicznie —
w daszek gwiazdom pobielany
płomień wieków i człowieka
w tekturowe cztery ściany.
Zamknąć tak — to z odległości —
w dwie figurki — czarną, białą,
rozdeptanych epok kości
i spalone żądzą ciało.

*

W naprężone kusze burz
anioł biały — szopkę niósł.

*

A figurki w męce gasnąc
coraz słabły, zanikały
w napowietrzną gwiazdy jasność,
tekturowo — popielały.

Śmiał się anioł półuśmiechem
z ich uporu, a nie grzechu,
że tak jedni — choć ich stu.

*

Anioł biały szopkę niósł.

*

Aż na grudzie stopą lekką
stanął niby mgłą i skałą
i koślawe, głodem ścięte
ujrzał w grudę wbite — ciało,
żeber czarnych łuki, spięte,
poskręcane rydle rąk,
brzuch jak bęben życia — wzdęty,
brzuch zsiniały, brzuch jak tłok,
i zawrócił. W nieba plusk
poczerniałą szopkę niósł.

2.XII.41 r.

Psalm 1. O pragnieniu

Ściągnij, Panie mój, żądzę, co mi oczy mruży,
choć je rozpala ciemno i ogniem jak gdyby
nalewa. Cóż mi po niej, kiedym w niej nie żywy,
ale jakby z papieru rozżarzone róże?

Ściągnij, Panie mój, żądzę, która, kiedy konie
lotem obłoki krają jak mleczność odwieczną,
jest we mnie jak wołanie w grobie — niedorzeczną
jak czarny krzyż, jak kamień i jak ciemny płomień.

Ściągnij, Panie mój, usta, co są poza moim
wołaniem, a wołają obcym niepokojem,
bo kiedy razem z ziemią pługi trupy krają,
jeszcze ze mnie te usta o krzywdzie wołają.

Ściągnij, Panie mój, ręce, co się niebu wznoszą
i jeszcze lotu krzyczą, jeszcze mścić się proszą,
bo kiedy po ciemności błędząc — trupom bluźnią,
jakże mnie, com zrozumiał, zemstę mieć — na próżno?

grudzień 41 r.

Psalm 2. O krzyżu

Matce

Nie nadaremnie jest ten krzyż,
który przykuwa trzepot rąk.
Posłuchaj tylko: czas jak mysz
podgryza rozłożysty dąb.

Nie nadaremny jest ten krzyż,
jakby odarty z czaszki mózg,
gdzie tysiącmłotem wieków łąy,
tak jakbyś ziemię w dłoniach niósł.

On w miłość, w roli skowyt psi,
on się wyciosa z ciszy snu;
jest u każdego progu dni;
jest, jakbyś ziemię w sercu niósł.

I nie daremny, bo gdy w lustro łez —
— jak w lustro nieba — śmiercią spojrzysz,
zobaczysz, powiesz: otom jest,
którym się krzyżem w Bogu drążył.

dn. 15.XII.41 r.

Psalm 3. O łasce

J. Andrzejewskiemu

Cóż mi, Panie, żem lepszy od cieni? W ich tłumie
ognia Twoich objawień rozróżnić nie umiem
od cieni, które we mnie i wśród których błędząc
jestem sercem ciemności i ciemności żądzą.

Kiedy przeze mnie wołasz, jakże ja ostaję,
kiedym jest sam dla siebie obiecany krajem?
I cóż mi, żem szkatuła, w której nic już więcej
ponad głos w niej zamknięty i złoto uświęceń?

Ja nie okrętem Tobie, bo gdzie by mi unieść
Twój czas nienazywany, Twoje sny — zrozumieć.
Ja sam we śnie płaczący, skutym małym strachem,
przybity niebem znaków jak zwalonym dachem.
Ja sam w tym śnie rzucając ramionami w ciszę,
sam swoich dni nie umiem, swych ramion — nie słyszę.

Przywróć mi, Panie, siłę zamyśleń skupionych,
gdzie mimo trwóg świadomość — ręce są jak dzwony
poważne, morzem brzmiające, a światem serdeczne,
co choć w nim, to ponad nim blaskiem — ostateczne.

dn. 20.XII.41 r.

Psalm 4

Boże mój. Ja przed Tobą
ołtarz ciała rozdarty.
Ja — jednym sumieniem rodzony,
dymię tysiącem martwych.

Nie tłumacz mi ptaków i roślin,
ja z nich poczęty — rozumiem,
tylko się krzywdy nauczyć
i ludzi się uczyć nie umiem.

Ja już spokojny. Ześlij
ulewy głów obciętych,
strąć nieba płaską dłoń,
Ty ze wszystkiego — święty.

Ale mi czyny wytłomacz,
ziemi ziejący orkan,
bo nic, że po klęsce jej depczę
jak po krzemiennych toporkach
ludzi, co nigdy nie rosnąc,
o ściany jaskiń miecz ostrzą.

Ale wytłomacz mi tych,
co niewiedzący — u ciemnych wód
są spopielale krzyżyki czarne
nie odegranych nigdy nut.

31.XII.41 r. — 1.I.42 r.

Bohater

Motto:

*Za to i rycerz nie lada gwałtownik,
lecz ów, co czeka.*

C. K. Norwid

On w wielości stoi pośród rzeczy,
które rosną w potwornej przemianie,
pośród roślin przezroczystych mieczy,
pośród zwierząt, ludzi, a poznanie
będzie obce mu, by trudniej było
wielość formy połączyć w miłość.

Więc się mienić będą i brunatnieć
w złotych formach dojrzałe oczy,
to obłoki będą dnem się toczyć,
dnem tych spojrzeń, by nie było łatwiej
snów od ludzi, kamieni od rąk
porozróżniać, a gradu od trąb.

A ten, który przeciw niemu zawoła
o swej sile i wstrząśnie owadem
wszechmałości — przejdzie w apostoła,
przemartwiały swej słabości jadem,
i ze strachu potęgę głoszący
w pięści zmienić chce gwiazdy i słońce.

On w wielości stoi. Wśród kaskady
tryskającej mleczem i tonami,
a nie spadnie, choć poryty gradem,
i nie wiedząc, gdzie koniec — nie skłamię.
Ani w bojach zjednoczy się w ogień,
ani w ludziach nie przystanie — z trwogi.

I nie wiedząc — choć otchłań zobaczy,
i nie wierząc w wiarę, która depcze,
czuciem światła łącząc przez powietrze
tak gwiazdami i łzami zapłaczę.
Ręce prosto kładąc w tęczę tonu
sklepi ziemię z niebem na kształt domu.
Będzie człowiek w ludziach, zieleń w ziemi
nad wiekami trwający ciemnymi.

28.I.42 r.

*

*

*

Basi

ale ty jesteś drzewo

R. M. Rilke

W każdej przemianie podobna kręgowi czasu,
jak rok obracasz się stojąc i jeszcze stąd
widzę cię na równinach, górach i grzywach lasów,
w które światło nalewasz dzbanem splecionych rąk.
I morzu podobna przenosisz odbicie wszystkich pogód,
które płynęły i grały w mosiężne kotły chmur.
Dłonią poruszysz — jest zima, uśmiechniesz się — to jesień
ciernie uczyni z głogów wianiem miedzianych piór.
W jabłkach dojrzewasz i zieleń wypełniasz żółtym sokiem.
Uchwyć powietrze dłonią — to jesteś każdy krzew
i każdy ptak na modrzewiu
albo muzyki obłokiem
i złotą struną drzew.

Ach, płoną drwa na kominach i sanie suną w puch,
kto przeciągając się mruży, wzdyma się w giętki łuk.
Ty jesteś w rzece i w każdym ruchu odbity twój uśmiech.
Obudź się śniegiem, polaną, zmień się w danieli róg,
pod wieczór będziesz ciałem i w moim ciele uśniesz,
a rano znów się obudzę, miną znużeni ludzie,
znajdą na mojej piersi uśpiony biały głóg.

11 luty 1942 r.

Miłość

Oto ona. Niby chmura dana
tym przelotnym kamieni rzeźbiarzom,
wszechżywotom, aby w niej czyniły
archanioła kształt, który widziany
w dawnym śnie — był w głosie rozpoznany.
Więc zielone głowice liści,
więc jak strugi deszczowej potop
kłęby roślin uchodzą do góry
i na przekór powietrza oplotom
puchem brzęczą poczynając z chmury
archanioła wspierające stopy.
Więc zwierzęta w oparach bekowisk,
w kotłach polan w siebie przenikając,
pod namiotem trwających odnowień
tworząc — z wolna w tonach rozpoznają
dłonie śmigłe niby pióra blasku
wypełnione jak kwiat nieba — łaską.
I on jeszcze — rzeźbiarz nierozumny
krzesze chmurę w żelaznym śnie lęku,
krzesząc wznosi marmurowe trumny
albo martwe posągów kolumny
w podobieństwo swoje. Niepoznany
anioł nad nim dłutem z głazu gnany
to go węzem owinie roślinnym,
to powietrzem ominie płynnym
i nieznany trwa, promienie leje,
co jak w grobie skończone nadzieje —
z dłoni, które płomieniem padając
wrócą w dłonie, gdy się głazem stają.

19.II.42 r.

Wielkanoc

Sklepienie — chwila — a niebo rozsadzi,
jest jak pierś w górach coraz szersza, niosąc
strumień biały, rzucony jak ogień z powały,
który jest słońca promieniem i głosem,
a w nim gołębie krążą znacząc ślady lotu
i jak pył w świetle cichym zmieniają się w złoto.

Takich świętyń gotyku jest w powietrzu wtedy
jak lśniących bąków, które krążą z bliska,
unoszących spalone wiekami szkielety
i spokojnych, wyniosłych jak nieba kołyska
na ziemi, gdzie pielgrzymem jest na placach ludnych
każde drzewo, a świętym każdy człowiek smutny.

Ten czas jak w chwilę grozy przemieni się? Znacząc
coś ponad ludzkie zgliszcza i twarze, co w głodzie
mają pozór stłuczonych kryształów i płaczą,
i jeszcze płaszcz gwardyjski z fantazją uniosą,
i jeszcze łyż krysztalem, a krew nazwą rosą,
i jeszcze wzniosą ramię i nazwą kościoły,
choć im się zdają jakby z róż na poły
z krzyżami budowane. O ty kraju! w tobie
ja znam za wiele oczu, które się dopała,
nim w nich ogień poznają, gdy proch stoczy w grobie,
i zbyt wiele znam świętyń, które się rozwałą,
nim im świętość przydadzą jak koronę królom.
O ty kraju! ja jestem bólem twoim bólem
i krwią krwi twojej białej — pszenicy łanowej,
i krwi twej purpurowej, co jest w twojej mowie.

Więc znów ten czas powraca, a z nim co? gdy ziemia
huczy w nim na kształt miecza i na kształt płomienia
jak z michałowych mieczów liść spadły jak z drzewa,
który na ziemię lecąc — pali, nie ogrzewa,
i wygania raz drugi, jak wtedy, z bram rajów.
Tak nam przemienia ziemię i serca w tym kraju,
w którym wszystko zmienione na popiół — wytrzyma
i będzie jak czuwanie skutego olbrzyma,
i będzie, gdy zawoła czas i znów dorosną,
nowe w czerwień jak w zieleń drzewo każde wiosną.
Więc zawirują kształty najczystszych przeznaczeń,
które staną się światłem, chociaż są rozpaczą,
które wzniosą się z trwogi, bo w trwodze się staną
jedną z tych pięciu — odkupienia raną,
jedną z tych pięciu — co głowami płaczą,
jedną z tych pięciu — tą w serce zadaną.

I kto jest człowiek tylko i cierpiał w tej ziemi,
będzie skuty z jej śmiercią i jej przebudzeniem,
i choćby w niej umierał jak nędzarz — to zbudzi
po cierpieniu, w powstaniu powstawanie ludzi
i sam jak człowiek wszędzie, i sam krew przebaczy,
bo wie, co znaczy skonać i cierpieć co znaczy.
I niech się święci w świetle wirowanie pyłu,
i niech się święci ten dzień, co jest miłość,
ten dzień, co niósł na sobie przez trumny i ruchy
łożenie w grobie ciałem, a wstawanie duchem.

III. 42 r.

*

*

*

O miasto, miasto — Jeruzalem żalu,
gdzie wsparte o kolumny — każde drzewo krzyżem
nad cieniem mijającym jak cieniem koralu,
który jak płomień niewidzialny liże
stopy zwycięzców i tych, którzy leżąc
pod płytą blasku, w cień blasku nie wierzą.

Miasto niewiary. Czym ty jesteś stojąc
we wszystkich ziemiach, w ognisku i w boju,
czymże ty jesteś i co niesiesz w sobie,
że jesteś na człowieku jak wieniec na grobie
i rodzisz tylko bezgłowe kamienie
i sen, gdzie nie śniąć
nie odwalone jesteś gromów brzemię
i martwą pieśnią.

Sen, sen upiorów, gdzie na kwiatkach leżą
ludzie ciosem znużenia padli przed wieczerzą,
ludzie u stołów pańskich siadający, którzy
szable splatają w dole, a kwiaty na górze.
Nic nie widzący, w nikogo wpatrzeni,
wielcy na krzywdę ludzką, mali na cierpienie.

Upadający — przez ciało chcąc stanąć
i żagwią wznieść pomniki, żagwią umaczaną
w ciałach tych, co nie wierząc — nie wiedzą i proszą
i których tylko potem anioły podnoszą
jak liść jesienny w baśni i prostując bożą
ręką — tak ukołyszają, aż w Bogu odtworzą.
A ci jak huragany wszczęte wianiem płaszczą
są, choć przez grozę, silni, gdzie armaty paszcza,
gdzie dłoni uderzenie, i tak są zwycięscy
w chwili zbrodni — na wieczność odtworzeni w klęsce.

O wielcy, których siłę nazywają słabość,
bo śpi w nich jak pomruki lawiny i czeka
na czas wiary, na znamię, na grom i człowieka,
na burzę planet, na rzeczy nazwanie.
A że z nich tworzą trumny, co w ziemi zwyciężą,
są zwani słabość, że nie ma oręża,
że nie ma na zwaliskach kwitnącego sioła,
że nie rozdepczą małych, bo światło anioła
jest nie przeciw małości, ale obok — znacząc:
wielkość — ciał przerastaniem, nie małych rozpaczą.

marzec 42 r.

Hallelujah

p. Jarosławowi Iwaszkiewiczowi

Niebo jak biała powierzchnia milczenia,
pod niebem płaska obraca się ziemia.
Sen u powiek omyty. Stoi prosty kształt
podobny do fontanny rytej w ścianie skał.
Zejdźcie, formy płomienne! Chłodna ziemia zgasi
i ostudzi, jak metal rozgrzany, postaci,
zatrzyma i przemieni w pomnik żółta glina,
aby była nazwana przez ziemię przyczyna.
Biją źródła mosiężne, dźwięk przechodzi w światło.
Rosną liście płomieni w obłoku, co drząc
rozstępuje się drzewom jak ramiona snom,
i grzmią rumaki burzy, nim je wiatry zatną.
A potem znów milczenie. Na bezludny gwar
i niebo się po płątku rozwija z krwi barw
i blade stoi w dole i na górze łuną,
a przez nie ożywione białe kwiaty suną,
które są oczyszczeniem formy i zamysłem,
jak anioły bez skrzydeł albo dąb bezlistny,
i tabuny widowisk niosą przez sklepienia,
a każdy cień odciska nieobeschła ziemia.
O świcie przebudzeni ludzie wnoszą głowy
i wyglądając w pejzaż widzą ślad różowy
i stygmaty piór białych opadłe przez noc,
ręce wnoszą zdumieni i oddają snom
te zjawy żywe. Zbudzeni nie wierzą
i jak posągi u wrót ognia leżąc
śpiewają pieśni, wnoszą dym jak dłoń
i błogosławią Panu; młode kwiaty tną,
rzucają na ołtarze nie wiedząc, że ziemia
porosła w obce kształty jak w kolumny przemian,
a stopy wyciśnięte, kędy przeszedł blask,
stoją nieme czekając u gorących ciał.

Stawisko, 26.III.42 r.

Noc

Basi

Madonno moja, grzechu pełna,
w sen jak w zwierciadło pęknięte wprawiona.
Duszna noc, kamień gwiazd na ramionach
i ta trwoga, jak ty — nieśmiertelna.

Madonno moja w grzechu poczęta,
to nie są winy, którym łez brak.
Noc jak zwierzę zatulone w strach,
noc, która zawsze pamięta.

Usta są gorzkie i suche, do łodyg
spalonych tak młodo podobne,
oczy ogniem niepłodne —
złoty orzech.

Czym łuskać z zamyślenia?
Wiarę uczynić po zgonie?
Jestem jak blask twój, co tonie
w morzach powrotnych jak ziemia.

Madonno, czym mnie wybawisz od nocy?
Czy dziecko przywrócisz wygięciem warg na dół?
Snom kolistym, kwiatom, wodospadom
dasz się przeze mnie toczyć?

Uczyń ruch nieomylny, daj nazwanie
wiatrom chłodnym, które z dzbanów leją
płyn, co jak płomień jest.
Dziś noc i budzę się, zanim dojrzeję
w lusterkach twoich łez.

28.III.1942 r. Stawisko

Martwa pieśń

Martwa pieśń, przyjaciele, bo gdzie rąk zabrakło,
tam i pieśni nie staje, a żaglom ni tratwom
nie płynąć tam, nie śpiewać młodzieńcom, a starcom
być czymś więcej niż tymi, co znając już — gardzą
popiołem, bo tym łatwo pogardzać, a zdobyć
wstawanie nowym drzewem najłatwiej za grobem.

I któż z was tanie tak sam, bez przyczyny
ponad miłość i proste wyznawanie winy,
ponad tę jeszcze, że tworzyć ci dano
i że przez dzieło twoje sny zmartwychpowstaną?
I cóż? Żeście tak słabi, żeście tylko mali
przez ciała — bryły martwe, to stąd tak zuchwali,
że ciało jest wam bogiem, bo zbyt jest oporem,
aby je wolać zrąbać jak kamień toporem?
Bo ciało jest jak zwierzę nieświadome czynu,
gdy je po grzechu gładzić, to wyrasta winą,
to się pnie na kolumny, a pochłania ducha
i potem już jest wolne, i steru nie słucha,
i nie boi się czynu żadnego. Za czyny
tylko duch pokutuje krzyżem własnej winy,
a tam już duchów nie ma.

O żalu, o trwogo,
jakaś ty jest — składana nagim z głazu bogom,
jakaś ty jest — składana na kopce, gdzie nawet
grób tak jest łzami gorzki, że nie wzrośnie trawą.
A sen wieczny upiory zabitych unosi,
których — krzyżów ognistych i krzyż nie uprosi,
i płacz wzniesiony późno nie przywróci bieli
i nie zetrze znamienia z śmiertelnej pościeli.

Martwa pieśń, przyjaciele, jeśli wam nie unieść
ruchu w prawd uczuwanie, nie zobaczyć w łunie
turkusowych posągów i najśmielszych marzeń,
jeśli wam tylko droga, gdzie zgniecione twarze
pod kołami rozpękle są jak prochy czynu,
a ogień żądź odwiecznych — koroną wawrzynu.
Jeśli kto jeszcze wierzy w stawanie się czasem,
jeśli kto jeszcze ceni człowieka nad głazem,
o, niech przez wiarę swoją otworzy przemianę
w spętanie, nie pochwałę zbrodni. Niech się stanie
jak mistrz, co siłę gromu zaklina w kształt żywy,
bo jeśli wiary zabraknie — kto wstanie szczęśliwy,
bo jeśli wiary zabraknie w odwrócenie ruchu,
martwa pieśń, przyjaciele — grobowcem na duchu,
martwy sen, przyjaciele, pod kolumną blasku
i popiołu wracanie popiołem — do piasku.

Wielkanoc — kwiecień 1942 r.

Rorate coeli

Spuśćcie rosę, niebioso, duchy nieobjęte,
i sztaby blasku białe, zwiastujące pieśni,
żeby, co żyje — życiem nie było przeklęte
i stało się jak światło w ciele — nie cielesne.

Spuśćcie rosę, niebioso, fale mórz złotawe
i szczerłość oczu, która jak zwierzęca — czysta,
a jeśli dzień — niech rośnie jak kolumny trawa,
a jeśli noc — niech będzie już noc wiekuista.

Spuśćcie rosę, niebioso, rozróżnienie czynów,
i krople takie jasne, by koroną było
to, co jest nazywane za potęgę — miłość
i przez niedopełnienie pozostaje winą.

Spuśćcie rosę, niebioso — kręgi żywe światła
na głowy pochylone, by to, co jest mądrość,
nie odchyłało na dół jak po płatku płatek
ludzi do głuchych studni i pożogi łądów.

Spuśćcie rosę, niebioso, aby elementy,
które są ku świętości, uczyniły świętym
i podsycane duchów płomieniem, powstały
jak łodygi wzrastania i owoce chwały,
a opadając liśćmi zwycięstwa jak złoto,
lot uczyniły dla nas albo nas dla lotu.

Wielkanoc — kwiecień 1942 r.

Prolog (Ojczyzna)

O miasta w dole tam, gdzie pułap dymu leży,
o rzeki w dole tam, o wsi jak białe stogi,
gdzie maszyn ruch i gdzie ociera złote rogi
w odbiciu szybkich rzek zielony jeleń chmur.

Obłoki górą płyną, obłoki są jednakie
jak ścigający korab albo odbicie fal,
które mijają sen i są jak ludziom ptaki
nad ogień i nad stal.

I w moim kraju one jak indziej niosą szept,
i w moim kraju on jakby przez obcą dłoń
niesione — tworzą obraz, który samotny rzeźbiarz
układa mimo huku albo pogłos trąb.

A w dole jest ojczyzna — to, co się nie nazywa,
to, co jest przypomnieniem najdalszych cichych lat,
i to, co w oku łąza, przez którą widać świat,
i to, co w sercu sen i nawałnice rąk.

O, dajcie, dajcie ręce, niech w drzeniu poznam sen,
co wzrastał i aniołem pozostał pod powieką.
Ojczyzna moja tam, tam jest i tak daleka,
jak jest podana dłoń człowieka dla człowieka.

Ojczyzna moja tam, gdzie zboża niosą wiatr
i gdzie zielony krąg zamyka pierścień Tatr,
i gdzie jak posąg złoty morze wygina łuk,
i człowiek, gdy z człowieka przemawia żywy Bóg.

Ojczyzna moja tam jak łańcuch martwych ciał
i leży na niej głaz, spod niego zieleń tryska.
O ziemio, tyś jest obraz ciosany z krwawych skał,
ty jesteś duchom grób i duchom jak kołyska.

Kto ciałem, temu kat obcina głowy taran,
kto duchem, temu kat nie zetnie głów płomienia,
bo gdzie się kończy zbrodnia, tam się zaczyna kara,
i tam zaczyna niebo, gdzie się kończy ziemia.

5.IV.42 r.

Wigilia

Matce

I zbudzili go nagle. Był to głos z daleka.
Umarłego lat tyle któż to zbudził z Boga
jak ze snu, by jak kropla ciążył znów ku ziemi
i cierpieniem, co myślą żywego człowieka,
jak ciałem okrył i sprowadził w dół?

Już opadał. Mgła nisko. Obłok śniegu w dole.
Od światła oderwany, a w czarnoksiężskim kole,
w kole głosu wirował, aż usłyszał z bliska,
jak go nazwała po imieniu. Śliska
ulica w śniegu nikła. Grajek zginał piłę
i cienki głos przeszywał i oddalał czas —
jak w tamten wieczór śmierci. Już był u tych okien.
Stół biały, wigilijny, posypany mrokiem
i ona tam samotna. Płomień śniegu gasł
od chłodu, który przyniósł, i powiew westchnienia
zatrzepotał, i stanął znów u jej ramienia
jak w tamten wieczór śmierci. „Mój miły — mówiła —
oto samotność moja, łzy i tych łez siła,
co cię do mnie prowadzi”. Pytał ciężko: „Co,
co mi każe powracać w ołowiane dno,
na samo dno milczenia, na ziemię, w popioły?”
„O miły, ukochany — mówiła; wspomniła: —

Ty duch, ty nie pamiętasz o cierpieniu ciała.
Już nie ma naszych synów. Krew ich wsiąka w śnieg.
Możesz widział ty serca ich na ulic bruku,
możesz widział schodzących na umarły brzeg,
a może roztrzaskaną matki siwą głowę?
Dzisiaj przyszła godzina, zabierz serce moje,
obroń mnie, od dotknięcia ich jakieś mnie broniał”.

Pokój spełniał się świtem. Na ulicy dzwonił
dzwonek u małych sanek. Ciemni, trzej, schyleni,
długo szukali w szafie. Jeden złożył dłoń
na jej ramieniu sztywnym. Wtedy się ukosem
obsunęła powoli; brzask jej zwilżył włosy
i strumyk chłodnej ciszy popłynął przez skroń.
Zamilkli. Ona była nim, daleko, chyba
dalej niż każda miłość. Ostry szron na szybach
skrzył się. Ruszyli z wolna, lęk ich biały zmroził
i czarny krzyż ze ściany jak milczenie — groził.
Było wysoko, cicho jak w kościele.

9.VIII.1942 r.

Miłość

O nieba płynnych pogód,
o ptaki, o natchnienia.
Nie wydeptana ziemia,
nie wyśpiewane Bogu
te drzewa, te kaskady
iskier, ten oddech nieba,
w ramionach jak w kolebach
zamknięty. Jak cokoły
drzewa z szumem na poły;
serca jak dzbany łaski,
takie serca jak gwiazdki,
takie oczy obłoki,
taki lot — za wysoki.

Słońce, słońce w ramionach
czy twego ciała kryształ
pełen owoców białych,
gdzie źródło zielone tryska,
gdzie oczy miękkie w mroku
tak pół mnie, a pół Bogu.

Twych kroków korowody
w urojonych alejach,
twe odbicia u wody
jak w pragnieniach, w nadziejach.
Twoje usta u źródeł
to syte, to znów głodne,
i twój śmiech, i płkanie
nie odpłynie, zostanie.
Uniosę je, przeniosę
jak ramionami — głosem,
w czas daleki, wysoko,
w obcowanie obłokom.

8 wrzesień 1942 r.

Modlitwa II

Tak wzrastamy, idziemy przez czas i kochanie.
Bogu nie dowierzamy, ludzie kłamią nam.
Jeszcze rok, jeszcze życie, a co pozostanie,
kiedy u blasku przystaniemy bram?

Nikt z nas nie jest bez winy. Kiedy noc opada,
wasze twarze i moja ociekają krwią
i własne ciało jest jak duszy zdrada,
i nienawistne ćwieki własnych rąk.

I nikt bez zmazy. Czarne czasu koła
jedne w drugie wplecione, czyn pociąga czyn.
I noc. A z nocy tej jak gdyby nikt nie wołał
nawet o łaskę, odpuszczenie win.

O spłyń, aniołem spłyń i od konania
z myślą od głowy odciętą przez bat
oczyść. I przywróć nam moc pokochania,
sosnowy, prosty dom i potok żywych lat.

O ziemi, ziemi moja, powróć w nasze serca
czystym imieniem, rozwiąż skamieniały czas.
Od ciał zabitych, ciał morderców,
od trwogi nocnej oczyść nas.

17 wrzesień 1942 r.

Obozy

Gdy na niebo wieczorne spienione gwiazdami
wypływa ciężki okręt,
a siwi marynarze wysoko nad nami
sieci spuszczaają w dół,
my jesteśmy tam w dole jak dzieci samotne,
co zrywają jagódki z umarłego krzewu
gorzkie i czarne, gorzkie i czarne owoce,
kiedy nad nami stoją dni i noce,
ciemności szumi drzewo.

Błogosławimy dni mleczne i krowie
i cień lipowy, i liści lot,
i krew, co płynie po ściętej głowie,
my zawsze pewni, zawsze gotowi
na sąd: co dobro, zło.

Błogosławimy straszne pociągi
odjeżdżające w smutek bez granic —
— z nich jęk jak dym. — To jadą ranni,
uczuc skręcone kabłąki.

Błogosławimy pola bitewne
i mądrość ludów, i mądrość maszyn,
krzywdy i wiary, i żale rzewne.

Grozo! Ojczyzno nasza!
Wtedy jesteśmy jak dzieci samotne,
a oczy ciemne i drapieżne są,
kiedy zapuszcza sieci ciężki okręt
i chwyta nas za fale wyciągniętych rąk.

Dźwigaliśmy brzemiona, broń czarną dźwigali
i śpiąc w obozach dusz wspólnych i ciemnych,
takeśmy z wolna pozapominali
snów — niedaremnych,
że uchwyceni przez sieci rybacze,
porwani w górę i rzućeni obok,
słyszymy: ziemia pokonana płacze,
ale nie śpiewa zwycięski obłok.

Próżne miłości były nasze ciała,
bo nie dość było pokochać gromadzie
tą rozdzieloną na tysiąc miłością,
co nas prowadzi.

O, bo i nie dość było kochać jedno,
i tak czujemy, ziemi oddaleni,
jak nas rozdziera ogromna samotność —
nieba powolne milczenie.

19, 20.II.43 r.

Warszawa

Bryła ciemna, gdzie dymy bure,
poczerniałe twarze pokoleń,
nie dotknięte miłości chmury,
przeorane cierpienia role.

Miasto groźne jak obryw trumny.
Czasem głuchym jak burz maczugą
zawalone w przepaść i dumne
jak lew czarny, co kona długo.

Wparło łapy ludzkich rojowisk
w głuchych ulic rowy wygaste,
warcząc czeka i węszy groby
w nocach krwawych i w gromach jasnych.

Jeszcze przez nie najeźdźców lawa
jako dym się duszny przewlecze,
zetnie głowy, posieje trawy
na miłości, krzywdzie człowieczej.

Jeszcze z wieku w wiek tak się spieni
krew z ciemnością, a ciemność z brukiem,
że odrośnie jak grom od ziemi
i rozewrze niebiosą z hukiem.

Bryła ciemna, miasto pożarne,
jak lew stary, co kona długo,
posąg rozwiany w dymy czarne,
roztrzaskany czasów maczugą.

I znów ująć dłuto i rydel,
ciąć w przestrzeni i w ziemi szukać,
wznosić wieki i pnące żywe
na pilastrach, formach i łukach.

I w sztandary dąć, i bić w kamień,
aż się lew spod dłoni wykuje,
aż wykrzesze znużone ramię
taki głąz, co jak serce czuje.

10.II.43 r.

*

*

*

Byłeś jak wielkie, stare drzewo,
narodzie mój jak dąb zuchwały,
wezbrany ogniem soków żrałych
jak drzewo wiary, mocy, gniewu.

I jęli ciebie cieśle orać
i ryć cię rylcem u korzeni,
żeby twój głos, twój kształt odmienić,
żeby cię zmienić w sen upiora.

Jęli ci liście drzeć i ścinać,
byś nagi stał i głowę zginał.

Jęli ci oczy z ognia łupić,
byś ich nie zmienił wzrokiem w trupy.

Jęli ci ciało w popiół kruszyć,
by wydrzeć Boga z żywej duszy.

I otoś stanął sam, odarty,
jak martwa chmura za kratami,
na pół cierpiący, a pół martwy,
poryty ogniem, batem, łzami.

W wielości swojej — rozegnany,
w miłości swojej — jak pień twardy,
haki pazurów wbiłeś w rany
swej ziemi. I śniesz sen pogardy.

Lecz kręci się niebiosów zegar
i czas o tarczę mieczem bije,
i wstrząśniesz się z poblaskiem nieba,
posłuchasz serca: serce żyje.

I zmartwychwstaniesz jak Bóg z grobu
z huraganowym tchem u skroni,
ramiona ziemi się przed tobą
otworzą. Ludu mój! Do broni!

IV.43 r.

Do przyjaciela

J. Andrzejewskiemu

Jak daleko jest od słowa do słowa!
A dalej chyba do mocnego jak sosna
wypełnienia się w uśmiechach prostych,
które wiążą jak wstążka rzeki
powitania, boje nasze dalekie.
Cóż jest więcej nad gest niewidoczny,
przerzucony jak zielona struna
nad miastami huczącymi w łunach,
nad stawania się obłok mroczny?
Mostek wiotki, taki śpiewny, pomocny.

I nie grzmiące to nasze witanie,
nie olbrzymie, ale ręką, gdy dotkniesz,
jest jak deska dębowa od łez mokra,
która błyszczy się, tęga i dobra,
na kołyskę i na trumnę sposobna.
A i krzyż z niej strugać można, no i kostur,
co zieloną grzywę liści puści z wiosną.

Bo się wierzy, że milczenie to śpiewanie,
a jak śpiewać, to Bóg nas tak śpiewem łączy.
Jeśli głosy będą jako dech gorący,
co roztopi dni topory, grób roztuli,
tośmy dobrze, przyjacielu, Boga czuli.

21.IV.43 r.

*

*

*

Niebo złote ci otworzę,
w którym ciszy biała nić
jak ogromny dźwięków orzech,
który pęknie, aby żyć
zielonymi listeczkami,
śpiewem jezior, zmierzchu graniem,
aż ukaże jądro mleczne
ptasi świt.

Ziemię twardą ci przemienię
w mleczów miękkich płynny lot,
wyprowadzę z rzeczy cienie,
które prężą się jak kot,
futrem iskrząc zwiną wszystko
w barwy burz, w serduszka listków,
w deszczów siwy splot.

I powietrza drżące strugi
jak z anielskiej strzechy dym
zmienię ci w aleje długie,
w brzóz przejrzystych śpiewny płyn,
aż zagrają jak wiolonczel
żał — różowe światła pnące,
pszczelich skrzydeł hymn.

Jeno wyjmij mi z tych oczu
szkło bolesne — obraz dni,
które czaszki białe toczy
przez płonące łąki krwi.
Jeno odmień czas kaleki,
zakryj groby płaszczem rzeki,
zetrzyj z włosów pył bitewny,
tych lat gniewnych
czarny pył.

15.VI.43 r.

Pokolenie

Wiatr drzewa spienia. Ziemia dojrzała.
Kłosa brzuch ciężki w górę unoszą
i tylko chmury — palcom czy włosom
podobne — suną drapieżnie w mrok.

Ziemia owoców pełna po brzegi
kipi sytością jak wielka misa.
Tylko ze świerków na polu zwisa
głowa obcięta strasząc jak krzyk.

Kwiaty to krople miodu — tryskają
ściśnięte ziemią, co tak nabrzmiała,
pod tym jak korzeń skręcone ciała,
żywcem wtłoczone pod ciemny strop.

Ogromne nieba suną z warkotem.
Ludzie w snach ciężkich jak w klatkach krzyczą.
Usta ściśnięte mamy, twarz wilczą,
czuwając w dzień, słuchając w noc.

Pod ziemią drążą strumyki — słyhać —
krew tak nabiera w żyłach milczenia,
ciągną korzenie krew, z liści pada
rosa czerwona. I przestrzeń wzdycha.

Nas nauczono. Nie ma litości.
Po nocach śni się brat, który zginął,
któremu oczy żywcem wykłuto,
któremu kości kijem złamano,
i drąży ciężko bolesne dłuto,
nadyma oczy jak bąble — krew.

Nas nauczono. Nie ma sumienia.
W jamach żyjemy strachem zaryci,
W grozie drążymy mroczne miłości,
własne posągi — źli troglodyci.

Nas nauczono. Nie ma miłości.
Jakże nam jeszcze uciekać w mrok
przed żaglem nozdrzy wężących nas,
przed siecią wzdętą kijów i rąk,
kiedy nie wrócą matki ni dzieci
w pustego serca rozpruty strąk.

Nas nauczono. Trzeba zapomnieć,
żeby nie umrzeć rojąc to wszystko.
Wstajemy nocą. Ciemno jest, ślisko.
Szukamy serca — bierzemy w rękę,
nasłuchujemy: wygaśnie męka,
ale zostanie kamień — tak — głąz.

I tak staniemy na wozach, czołgach,
na samolotach, na rumowisku,
gdzie po nas wąż się ciszy przeczołga,
gdzie zimny potop omyje nas,
nie wiedząc: stoi czy płynie czas.
Jak obce miasta z głębin kopane,
popielejące ludzkie pokłady
na wznak leżące, stojące wzwyż,
nie wiedząc, czy my karty iliady
rzeźbione ogniem w błyszczącym złocie,
czy nam postawią, z litości chociaż,
nad grobem krzyż.

22.VII.43 r.

Mazowsze

1

Mazowsze. Piasek, Wisła i las.
Mazowsze moje. Płasko, daleko —
pod potokami szumiących gwiazd,
pod sosen rzeką.

Jeszcze tu wczoraj słyszałem trzask:
salwa jak poklask wielkiej dłoni.
Był las. Pochłonał znowu las
kaski wysokie, kości i konie.

2

Zda mi się, stoi tu jeszcze szereg,
mur granatowy. Strzały jak baty.
Czwartego pułku czapy i gwery
i jak obłoki — dymią armaty.

3

Znowu odetchniesz, grzywo zieleni,
piasek przesypane się w misach pól
i usta znowu przyłgną do ziemi,
będą całować długi świst kul.

Wisło, pamiętasz? Lesie, w twych kartach
widzę ich, stoją — synowie powstań
w rozdartych bluzach — ziemia uparta —
— jak drzewa prości.

4

W sercach rozwianych, z hukiem dwururek
rok sześćdziesiąty trzeci.
Wiatr czas zawiewa. Miłość to? Życie?
Płatki ich oczu? Płatki zamieci?

5

Piasku, pamiętasz? Ziemia, pamiętasz?
Rzemień od broni ramię przecinał,
twarze, mundury jak popiół święty.
Wnuków pamiętasz? Światła godzinę?

6

I byłeś wolny, grobie pokoleń.
Las się zabliznił i pach przywalił.
Pługi szły, drogi w wielkim mozole,
zapomniały.

A potem kraju runęło niebo.
Tłumy obdarte z serca i z ciała,
i dymił ogniem każdy kęs chleba,
i śmierć się stała.

Piasku, pamiętasz? Krew czarna w supły
związana — ciekła w wielkie mogiły,
jak złe gałęzie wiły się trupy
dzieci — i batów skręcone żyły.

Piasku, to tobie szeptali leżąc,
wracając w ciebie krwi nicią wąską,
dzieci, kobiety, chłopci, żołnierze:
„Polsko, odezwij się, Polsko”.

Piasku, pamiętasz? Wisło, przepłyniesz
szorstkim swym sukniem po płaszczu plemion.
Gdy w boju padnę — o, daj mi imię,
moja ty twarda, żołnierska ziemi.

26.VII.43 r.

Rodzicom

A otóż i macie wszystko.
Byłem jak lipy szelest,
na imię mi było Krzysztof,
i jeszcze ciało — to tak niewiele.

I po kolana brodząc w blasku
ja miałem jak święty przenosić Pana
przez rzekę zwierząt, ludzi, piasku,
w ziemi brnąc po kolana.

Po co imię takie dziecinne?
Po co, matko, taki skrzydeł pokrój?
Taka walka, ojcze, po co — takiej winie?
Od łez ziemi krwawo mi, mokro.

Myślałaś, matko: „On uniesie,
on nazwie, co boli, wytłumaczy,
podźwignie, co upadło we mnie, kwiecie
— mówiłaś — rozkwitaj ogniem znaczeń”.

Ojcze, na wojnie twardo.
Mówiłeś pragnąc, za ziemię cierpiąc:
„Nie poznasz człowieczej pogardy,
udźwigniesz sławę ciężką”.

I po cóż wiara taka dziecinie,
po cóż dziedzictwo jak płomieni dom?
Zanim dwadzieścia lat minie,
umrze mu życie w złocieniach rąk.

A po cóż myśl taka jak sosna,
za wysoko głowica, kiedy pień tną.
A droga jakże tak prosta,
gdy serce niezdarne — proch.

Nie umiem, matko, nazwać, nazbyt boli,
nazbyt mocno śmierć uderza zewsząd.
Miłość, matko — już nie wiem, czy jest.
Nozdrza rozdęte z daleka Boga wietrzą.

Miłość — cóż zrodzi — nienawiść, struny łez.

Ojczy, broń dźwigam pod kurtką,
po nocach ciemno — walczę, wiary więdną.
Ojczy — jak tobie — prócz wolności może i dzieło,
może i wszystko jedno.

Dzień czy noc — matko, ojczy — jeszcze ustoję
w trzaskawicach palb, ja, żołnierz, poeta, czasu kurz.
Pójdę dalej — to od was mam: śmierci się nie boję,
dalej niosąc naręcza pragnień jak spalonych róż.

30.VII.43 r.

Cień z obozu

Przychodził do niej we śnie długi cień,
chłód wiał, w błękitne szkło przemieniał dłonie;
słyszała co dzień kroki. Wiała mokra sień
i pory roku, deszcze jak spienione konie
porywały za sobą drzewa i niebiosą,
pochmurne, to znów białe. Śnieżyce na włosach
zostawiały jej płatki, cichym rylcem żłobiąc.
Zamieniała się w pomnik powoli, nieznacznie,
nocą czekając dnia, który ją rzeźbić zacznie,
a dniem na noc czekając, na splątany kłąb
ciemnych organów ciszy, które wiały w głąb,
jak wir lodowej rzeki. I huczała trwoga.
Przychodził do niej we śnie długi cień,
rozchyłał płatki nocy, co pod jego ręką
rozwijają się szumiąc jak spalony kwiat,
i nazywał imieniem pory wszystkich lat,
i zamykał skinieniem sny jak morza lęku.

I przyszedł pierwszy raz, i nawiał obłok biały,
a chłodne bryły lodu tej nocy — w staw przemienił,
a na nim złote kręgi milczenia tak się chwiały
jak motyl albo gwiazdy brzęczący, pszczeli ślad.
„Matko — powiedział — powróż ze mną w daleki las,
gdzie kwiaty źródeł biją, żywica dymi ciepło.

Ognisty motyl żyje, dzieciństwo żyje w nas,
a tylko serce twoje jak czarna kra zakrzepło.”
A w oknach skośny wiatr nadymał śniegu ściany,
na sprzętach porastało niedźwiedzie białe futro.
Więc on dotykał muru i z ciemnych pyłów smutku
wywodził lip aleje i sarny, i złocienie,
i objął matkę wpół, i razem szli w milczenie
jak kiedyś, jak w dzieciństwie szli w nieobjęty świat.

A rano świt nadymał ogromne białe niebo,
na oknach szorstki puch i chłód trumienny szedł.
„O synku, o mój miły — płakała — ty bez chleba
drętwiejesz, o mój synku, w tobie zamarzła krew.
Jakeś ty do mnie przyszedł, jakeś ty czas ubłagał?
Ja wiem — to już nie kwiaty, ja widzę śnieżne pola
i bat nad tobą węzłem, i twoja postać naga,
co biegnąc tak się z wolna zamienia w ludzki ślad...”

I przyszedł drugi raz, a z nim zielony blask,
a za oknami wtedy kasztany w ogniu stały.
Była wiosna. On dłońmi — w których mu płomyk gaś —
w powietrze światło wlewał, aż stało jak naczynie
pełne żywego ognia. I matkę w górę wiódł,
gdzie się przejryste stropy topiły niby lód.
„Matko — mówił — to w tobie się tylko zebrał cień,
nie płacz, matko, to źródła widzisz bijące życiem,
niedostrzegalne, matko, płomienne boże wici,
co są nad trwozę, matko, nad grozę i nad śmierć.”
I dalej szli w milczenie, w obłoków drżące lilie,
w zielone zdroje światła, w drgające żyły drzew,
aż tylko ptak maleńki w fontannie bzów pozostał.
„Matko — słyszała jeszcze — to ptak, co niesie śpiew
dla mnie tam, kiedy czasem umieram. On na sosnach
za drutem siada blisko i głos jak żywa krew
spływa we mnie. Niech da ci jeszcze ostatni znak.”

A rano, kiedy oczy zlepione płatkami bólu
otwarła — na kasztanie jak kryształowy flet
polał się głos i zamarł. Płakała: „Synku mój,
jakeś milczenie przemógł i wrócił, kiedy wiem,
że krwawe sznury strzegą każdego twego snu”.

I przyszedł trzeci raz. I już nie czynił nic.
Było lato, w powietrzu pozostał lot jaskółek,
upał jak złoty miód w ziemię się wsączał czułą
i parowały ciężkie z otwartych czaszek sny.
Przyszedł zwykły, ucichły jak trzepot ptasich skrzydeł
i dłonie wiotkie tylko na włosy matki kładł.
I była ciemność. Cisza. A on jak wielki kwiat
na środku się kołysał, powoli w górę szedł.
„Matko — powiedział jeszcze — to nic, że ja daleko,
że nas rozdarła ciemność i ból, co tkwi jak nóż.
Ja w tobie, a ty we mnie płyniemy strugą, rzeką
złocistą, drżącą strugą, gwiazdami lśniących róż.
Bo nie ma rozerwania, choć rozerwane słowa,
bo nie ma zapomnienia, choć życie nas zapomni;
z brzęczących kręgów nieba ja w ciebie, a ty do mnie
płyniemy.” Już tryskała obłoków dłoń różowa
i krzykiem świt przebudził na drzewie śpiący ptak.
„O Matko, kiedy wstaniesz i wyjrzysz w dzień, to w oknie
zobaczysz mój ostatni, jak światło cichy — znak.”

Kiedy się znów otwarła po snu oplocie ciasnym,
słońce nalane w ogród jak w wielką, płaską kadź
obrysowało drzewo, liście i korę jasną,
a na nim pył owoców. Na czasów złych rozstaju
drzewo ludzkich wyroków, dziwne drzewo rodzaju,
wiśniowe drzewo rośło, a słońce w kulki wisien
zamknęło krople pełne jego przelanej krwi,
którą tej nocy bat rozplusnął z jego ciała,
i drżały tak jak ziemi bolesne, żywe łyzy
nad zamyśleniem czasu, nad wirowaniem pyłu
i przenikaniem kręgów, które natchnęła miłość.

17.VIII.43 r.

Do Matki Boskiej

Mario, obłoków ciszo.
Ciężko nam Boga dźwigać,
jeszcze ciężej odrosły świat,
nieba wysokie ciężej; nieba nad nami wiszą
jak przykazania ciemny kwiat.

Mario, tak bardzo boli, powiedzmy słowem prostym,
oto wszystko, całą maluczkość serc:
tu oto świty skazańców, tu oto dzieci, co rosły,
tu oto, Mario — milcząca nawet przed Bogiem śmierć.

Żeby się jeszcze unieść: o, natchnie ciepła muzyka,
ale już ziemia za ciężka, to dusze martwe jak ołów,
ciała i groby za ciężkie — stężałe bryły mozołu,
dym, płomień nad nami wykwita.
Cierpienie to kula, koło,
rzeźbi, lecz toczy się dokąd?

Mario przezczysta, oto są dłonie wyschłe jak ruczaj,
z których by takie ogrody, zielone wybuchy drzew,
z których by domy jasności. A teraz oczy nauczaj,
jak w baldachimy przestrzeni trwogę zamienić i gniew.

Oto maluczkość nasza, śpiewaj, święta, nie ustań —
czym wyższa topola śpiewu, tym bliżej dosięgnąć z dna.
Kończę. Oto już wszystko. Jak wióry wyschłe mam usta,
nimi, o cicha, ciebie jak wizerunek wycisnąć w twardych dniach.

VIII.43 r.

Spojrzenie

Nic nie powróci. Oto czasy
już zapomniane; tylko w lustrach
zsiada się ciemność w moje własne
odbicia — jakże zła i pusta.

O znam, na pamięć znam i nie chcę
powtórzyć, naprzód znać nie mogę
moich postaci. Tak umieram
z półobjawionym w ustach Bogiem.

I teraz znów siedzimy kołem,
i planet dudni deszcz — o mury,
i ciężki wzrok jak sznur nad stołem,
i stoją ciszy chmury.

I jeden z nas — to jestem ja,
którym pokochał. Świat mi rozkwitł
jak wielki obłok, ogień w snach
i tak jak drzewo jestem — prosty.

A drugi z nas — to jestem ja,
którym nienawiść drżącą począł,
i nóż mi błyska, to nie łza,
z drętwych jak woda oczu.

A trzeci z nas — to jestem ja
odbity w wypłakanych łzach,
i ból mój jest jak wielka ciemność.

I czwarty ten, którego znam,
który nauczę znów pokory
te moje czasy nadaremne
i serce moje bardzo chore
na śmierć, która się lęgnie we mnie.

18.X.43 r.

Z głową na karabinie

Nocą słyszę, jak coraz bliżej
drżąc i grając krąg się zaciska.
A mnie przecież zdrój rzeźbił chyży,
wyhuśtała mnie chmur kołyska.

A mnie przecież wody szerokie
na dźwigarach swych niosły płatki
bzu dzikiego; bujne obłoki
były dla mnie jak uśmiech matki.

Krąg powolny dzień czy noc krąży,
ostrzem świszcząc tnie już przy ustach,
a mnie przecież tak jak i innym
ziemia rosła tęga — nie pusta.

I mnie przecież jak dymu laska
wtryskała gołębia młodość;
teraz na dnie śmierci wyrastam
ja — syn dziki mego narodu.

Krąg jak nożem z wolna rozcina,
przetnie światło, zanim dzień minie,
a ja prześlę czas wielkiej rzeźby
z głową ciężką na karabinie.

Obskoczony przez zdarzeń zamęt,
kręgiem ostrym rozdarty na pół,
głowę rzucę pod wiatr jak granat,
piersi zgniecie czas czarną łapą;

bo to była życia nieśmiałość,
a odwaga — gdy śmiercią niosło.
Umrzeć przyjdzie, gdy się kochało
wielkie sprawy głupią miłością.

4 grudzień 1943 r.

Poległym

Nocą, gdy ciemność jest jak zwierzę czarne,
stoi cisza jak lęku drgający biały słup.
I żyła śmierci bije: na marne — drży — na marne,
a rano znów się potknę o rozkopany grób.

A dniem stół pusty stoi, zabrakło na nim rąk,
które by razem ze mną wznosiły kruchą sieć,
a uporczywe twarze i ciała wokół siedzą,
jak gdyby tu przykute miłości mroczną wiedzą,
i głos na ścianach osiadł jak szron i dzwoni: „Leć!”

I każą mi: „Zapomnij!” Więc ręce ciężkie włożyć
w ciężarny ołów gliny i pracy toczyć głaz,
więc jeszcze dzień obrócić, jak mokry piach wyłożyć,
odetchnąć jeszcze śmiercią i jeszcze, jeszcze raz.

A potem znowu noc i słuchać długo trzeba,
jak schodów trzask się wznosi, jak dławi płótno czarne,
a w szyby śniegu bicz: „Na marne — drży — na marne!”
I życie w gardle tkwi jak ostry kamień chleba,
i czuję was w ciemności bez ziemi i bez nieba.

I wtedy trzeba wierzyć, i każą mi: „Zapomnij!”
I trzeba martwą broń zamienić w krzyż i płomień...
Ulice moich dróg są wszystkie w górę — strome,
i cienka struga krwi jak lont się spala — do mnie.

Żelazna miłość — tak — wybuchło, zgasło, starło,
pozostał tępy mus, co w pięści tkwi jak gwóźdź.
Zapomnieć teraz, zdrętwieć, milczeniem tak się struć,
żeby mi piskłę ognia na dłoni nie umarło.

Odeszli. Noc po nocy. Coraz to krzyk za gardło
i tylko cisza po nich i dzwoni śniegu słup,
ale się głupie ciało jak ciężki pień uparło,
choć rano — ktoś się potknie o mój dymiący grób.

6.I.1944 r.

Elegia o... [chłopcu polskim]

Oddzielili cię, syneczku, od snów, co jak motyl drżą,
haftowali ci, syneczku, smutne oczy rudą krwią,
malowali krajobrazy w żółte ściegi pożóg,
wyszywali wisielcami drzew płynące morze.

Wyuczyli cię, syneczku, ziemi twej na pamięć,
gdyś jej ścieżki powycinał żelaznymi łzami.
Odchowali cię w ciemności, odkarmili bochnem trwóg,
przemierzyłeś po omacku najwstydlwsze z ludzkich dróg.

I wyszedłeś, jasny synku, z czarną bronią w noc,
i poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut — zło.
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.
Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?

20.III.1944 r.

Westchnienie

Deszczu srebrne gałązki rosną
jak gotyckich krużganków motyl,
ptaki dzwonki zielone niosą
na przejrzystych wstążeczkach lotu.

Jeden uśmiech dziecinnych lądów
błękitniejszy mi jest niż woda,
bo mnie żłobi niedobra mądrość,
bo się kończy nieżywa młodość.

Kurant jeszcze z pnącej się wieży,
wzgórz zielonych faluje dywan
i poznaję miasto w obłokach,
nie wiem tylko, jak się nazywa.

Z tych wysokich przelotów we śnie
ludzie mali byli jak kwiaty.
Przebudzone o śmierć za wcześniej,
o, rzeźbione w kolorach światy!

Norymbergi, o Awiniony,
rączką dziecka rzeźbione w ciszy,
jeszcze sobie szum wasz przypomnę,
bo za rok już go nie usłyszę.

23 kwiecień 1944 r.

Pocałunek

Dniem czy nocą idziemy wytrwali,
w bitwach ogień hartuje nam pierś,
myśmy dawno już drogę wybrali,
jeśli nawet powiedzie — przez śmierć.

Więc naprzód, niech broń rozdziera,
niech kula szyje jak nić,
trzeba nam teraz umierać,
by Polska umiała znów żyć.

Bo czy las nam zahuczy jak morze,
czy w bruk miasta uderza nasz krok,
w naszych sercach trzepocze się orzeł,
każdy pancierz przepali nasz wzrok.

[po 16.V.1944]

Krzysztof Kamil Baczyński.

Bibliografia w wyborze.

I. Druki zwarte

Baczyński Krzysztof Kamil ; Skoczek Tadeusz (wyb.), *Nie ma zapomnienia : wiersze*. – Warszawa : CAN – Andrzej Cedro, 2016. – 73, [1] s. : il. ; 18 cm.

Balowski Mieczysław, *Lista frekwencyjna poezji, prozy i dramatu Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*. – Prochowice : „Pro”, 1997. – 476 s. ; 20 cm.

Balowski Mieczysław, *Słowiańskie paralele : Jiří Orten i Krzysztof Kamil Baczyński : z zagadnień semantyki języka poetyckiego*. – Ostrava : Ostravská univerzita Ostrava. Filozofická fakulta, 2000. – 261, [3] s. ; 21 cm.

Beliniak Katarzyna (red.), *Krzysztof Kamil Baczyński : poeta tragiczny*. – Warszawa : De Agostini Polska, 2007. – 47, [1] s. ; 29 cm.

Budzyński Wiesław, *Baczyński uszlachetnia*. – Warszawa : Wojskowy Instytut Wydawniczy ; Naukowe Centrum Kultury, 2021. – 348, [4] s. : faks., fot., il. ; 22 cm.

Budzyński Wiesław, *Dom Baczyńskiego*. – Warszawa : „Pax”, 2000. – 293, [3] s. ; 20 cm.

Budzyński Wiesław, *Miłość i śmierć Krzysztofa Kamila*. – Kraków : Wydawnictwo M, 2014. – 336 s. ; 21 cm.

Budzyński Wiesław, *Śladami Baczyńskiego*. – Warszawa : Muzeum Historyczne m. st. Warszawy, 2009. – 191, [2] s. ; 24 cm.

Budzyński Wiesław, *Taniec z Baczyńskim : historia miłości Barbary i Krzysztofa Baczyńskich*. – Warszawa : Prószyński i S-ka, 2001. – 148, [1] s. ; 21 cm.

Budzyński Wiesław, *Testament Krzysztofa Kamila*. – Warszawa : „Twój Styl”, 1998. – 322, [1] s. ; 24 cm.

Budzyński Wiesław, *Warszawa Baczyńskiego*. – Warszawa : „Noir Sur Blanc”, 2004. – 150, [6] s. ; 22 cm.

Detka Janusz (red.), *Krzysztof Kamil Baczyński : twórczość, legenda, recepcja*. – Kielce : KTN, 2002. – 201, [3] s. ; 21 cm.

Dusza Edward Leszek, *Pieśniarz z pożogi*. – New York : A. R. Poray, 1984. – [4], 39 s. : il. ; 21 cm.

Grzegorzewska Małgorzata, *Eliot's Christianity in a contemporary perspective : from hindsight to insight*. – Warsaw : Univeristy of Warsaw Press, 2021. – 182, [2] s. ; 24 cm.

Jakubiak Łukasz (red.), *Piórem laureata : cztery pióra*. – Ciechanów : Ciechanowski Ośrodek Edukacji Kulturalnej Studio, 2021. – 104 s. ; 30 cm.

Jarzyna Anita, *Imaginauci : pismo wyobraźni w poezji Bolesława Leśmiana, Józefa Czechowicza, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Tadeusza Nowaka*. – Łódź : Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego ; Kraków : Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, 2017. – 364, [1] s. ; 24 cm.

Kiepura Eliza, *W czasie, poza czasem : poezja Krzysztofa Kamila Baczyńskiego a koncepcje sztuki wyrastające z nauk przyrodniczych*. – Lublin : Wydawnictwo Polihymnia, 2017. – 339 s. ; 24 cm.

Kryńska Hanna, *„Rzeczy niepokój” : o twórczości Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*. – Kraków : Instytut Literatury, 2021. – 137, [15] s. ; 24 cm.

Lisowski Zbigniew, *Tragizm wojny i okupacji w poezji Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Tadeusza Różewicza i Zbigniewa Herberta*. – Warszawa : Wydawnictwo Naukowe Semper, 2008. – 124, [1] s. ; 21 cm.

Łojek Mieczysław, *Ufność Krzysztofa K. Baczyńskiego w niezawodną pomoc Matki Bożej*. – Bydgoszcz : [Łojek Mieczysław], 2003. – 31, [1] s. ; 21 cm.

Łuszczkiewicz Piotr, *Po balu : (eseje o literaturze polskiej)*. – Warszawa : „Latona”, 1997. – 209, [7] s. ; 21 cm.

Marx Jan, *Dwudziestoletni poeci Warszawy : [Krzysztof Kamil Baczyński, Tadeusz Gajcy, Juliusz Krzyżewski, Zdzisław Stroiński, Andrzej Trzebiński, Wacław Bojarski]*. – Warszawa : „Alfa-Wero”, 1994. – 688 s. ; 24 cm.

Michalec Beata, Skoczek Tadeusz (red.), *Pokolenie Kolumbów : Krzysztof Kamil Baczyński znany i nieznany oraz pozostali poeci Powstania Warszawskiego*. – Warszawa : Wydawnictwo Muzeum Niepodległości, 2021. – 214, [2] s. ; 24 cm.

Nowacka Irena, *Poezje Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*. – Lublin : Wydawnictwo Biblios, 2007. – 45 s. ; 17 cm.

Ostasz Gustaw (red.), *Nad wierszami Baczyńskiego : interpretacje i szkice*. – Rzeszów : Wydaw. WSP, 1989. – 131, [1] s. ; 24 cm.

Ostasz Gustaw (red.), *Nad wierszami Baczyńskiego : interpretacje, szkice i rozprawy*. – Rzeszów : Wydaw. Wyższej Szkoły Pedagogicznej, 1998. – 276, [1] s. ; 24 cm.

Ożóg Zenon, *Romantycy czasu wojny : liryka Krzysztofa Kamila Baczyńskiego oraz poetów „Sztuki i Narodu” wobec tradycji romantycznej*. – Rzeszów : Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, 2002. – 143, [1] s. ; 20 cm.

Pasiak-Wąsik Dorota, *Krzysztof Kamil Baczyński : patron roku 2021*. – Warszawa : Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, 2021. – 37 s. ; 20 cm.

Piotrowiak Miłosz, *Kto ten pejzaż zimą niewydarzoną zatruł? : tropy egzystencji w liryce Jerzego Kamila Weintrauba*. – Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 2009. – 229, [1] s. ; 21 cm.

- Piotrowski Bogdan (red.), *Infierno poetico de Polonia : (antologia de 27 poetas contemporáneos 1942-1981)*. – Bogota : Canal Ramirez-Antaras, 1982. – 178, [1] s., [18] k. tabl. ; 21 cm.
- Smaszcz Waldemar ; Makowiecki Andrzej Zdzisław (przedm.), *Miłość mocna jak śmierć....* – Białystok : Klub Literacki ZLP [Związku Literatów Polskich] : Miejski Dom Kultury, 1980. – 12, [4] s. ; 20 cm.
- Smaszcz Waldemar, *Krzysztof i Barbara : ...podobni jak dwie krople łez : dzieje miłości*. – Białystok : Studio Wydawnicze Unikat, 2011. – 235, [5] s. ; 21 cm.
- Smaszcz Waldemar, *Krzysztof i Barbara : dzieje miłości*. – Białystok : Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Łukasza Górnickiego, 1990. – 32 s. ; 20 cm.
- Stabro Stanisław, *Chwila bez imienia : o poezji Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*. – Kraków : Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, 2003. – 333 s. ; 21 cm.
- Święch Jerzy, *Wiersze Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*. – Warszawa : Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, 1991. – 160 s. ; 17 cm.
- Wasilewski Zbigniew (red.), *Żołnierz, poeta, czasu kurz... : wspomnienia o Krzysztofie Kamile Baczyńskim*. – Kraków : Wydawnictwo Literackie, 1967. – 310, [2] s., [44] k. tabl. ; 18 cm.
- Wasilewski Zbigniew, *Legenda Baczyńskiego*. – Warszawa : Agencja „Sukurs”, 1996. – 134, XXXVII s. ; 21 cm.
- Waśkiewicz Andrzej Krzysztof, *Krzysztof Kamil Baczyński – poezja, historia, los*. – Gdańsk : Wydaw. Marek Rożak, 1994. – 57, [4] s. ; 20 cm.
- Waśkiewicz Andrzej Krzysztof, *Krzysztof Kamil Baczyński i poezja pokolenia wojennego*. – Warszawa : „Jota”, 1991. – 47, [1] s. ; 14 cm.
- Wyka Kazimierz ; Kmita-Piorunowa Aniela (oprac.), *List do Jana Bugaja ; Droga do Baczyńskiego*. – Warszawa : Państwowy Instytut Wydawniczy, 1986. – 41 [2] s. ; 24 cm.
- Wyka Kazimierz, *Baczyński i Różewicz*. – Kraków : Wydawnictwo Literackie, 1994. – 241, [2] s. ; 21 cm.
- Wyka Kazimierz, *Krzysztof Baczyński (1921-1944)*. – Kraków : Wydawnictwo Literackie, 1961. – 132, [1] s., [1] k. tabl. ; 20 cm.
- Zabierowski Stefan, *Krzysztof Kamil Baczyński : biografia i legenda*. – Wrocław : Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1990. – 44 s. ; 17 cm.
- Zgrzywa Agnieszka, *Poeta i baśń : rzecz o Krzysztofie Kamile Baczyńskim*. – Poznań : Wydawnictwo Poznańskie, 2011. – 281, [3] s., [16] k. tabl. ; 21 cm.
- Zyskowska-Ignaciak Katarzyna, *Ty jesteś moje imię*. – Poznań : Wydawnictwo Filia grupa Termedia, 2014. – 422, [1] s. ; 20 cm.

II. Artykuły

Antoniuk Mateusz, *Obrazy Boga w poezji Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*, [w:] Siwor Dorota, Ruszar Józef Maria (red.), *Obrazy Boga w literaturze polskiej XX i XXI wieku : od pokolenia wojennego do Nowej Fali*. – Bielsko-Biała : Wydawnictwo Naukowe ATH ; Kraków : Instytut Myśli Józefa Tischnera, 2019, s. 41-61.

Berowska Marta, *Krótki czas życia i twórczości Krzysztofa K. Baczyńskiego*, „Ciechanowskie Zeszyty Literackie”, 2021, nr 23, s. 164-168.

Błaszowska Marta, *Przedmioty i/lub podmioty : dwie literackie reprezentacje motywu przedmiotów w relacji z ludzkimi podmiotami*, „Maska”, 2016, nr 31, s. 135-144.

Budzyński Wiesław, *Baczyński jest wielki*, „LiryDram : kwartalnik literacko-kulturalny”, 2015, nr 8, s. 15-17.

Budzyński Wiesław, *Po stronie nadziei : Baczyński – żołnierz Powstania*, „Tygodnik Powszechny : katolickie pismo społeczno-kulturalne”, 1997, nr 32, s. 5.

Chłopek Ryszard, *Święty Jan pisze list nazwany później drugim ; Krzysztof Kamil Baczyński czyści karabin w oknie zajętego budynku ; Siedząc po prawicy Ojca, pogodzony z losem Zygmunt Freud bezsilnie patrzy, jak jego żona zapala menurę ; Pod wpływem alkoholu Kajfasz myli Judasza z Jezusem*, „Studium”, 2002, nr 3/4, s. 24-27.

Cudak Romuald, *Nas nauczone. Nie ma miłości*, „Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach”, 2018, nr 3755, s. 218-219.

Cudak Romuald, *Tańczą panowie, tańczą panie „na moście w Awinion”*, „Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach”, 2018, nr 3755, s. 319-320.

Danielewiczowa Magdalena, *Jak czytać „Sur le pont d'Avignon” Krzysztofa K. Baczyńskiego? : tekst i jego konteksty*, [w:] Wanot-Miśtura Magdalena, Wierzbiicka-Piotrowska Elżbieta (red.), *Przekraczanie granic języka : praca zbiorowa*. – Warszawa : Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, 2017, s. 37-46.

Drzewucki Janusz, *W 55 rocznicę śmierci poety : Krzysztof Kamil Baczyński (1921-1944) : poeta i powstaniec*, „Rocznik Otwocki”, T. 4, 1999, s. 251-253.

Dziedzicka Marta, *Funkcja motywu miłości w kształtowaniu onirycznego obrazu okupacji w twórczości Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Borowskiego*, „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historiocolitteraria”, 2015, [nr] 15, s. 213-221.

Grabowski Mariusz, *Poeta, który poległ na powstańczym posterunku : 4 sierpnia o godz. 16, w pałacu Blanka, zginął poeta Krzysztof Kamil Baczyński : miał 23 lata i był głosem swojego pokolenia : 2021 został ogłoszony Rokiem Baczyńskiego z uwagi na setną rocznicę jego urodzin*, „Polska”, 2021, nr 62, s. 24.

Grzybowski Waclaw, *Metafora i świadomość w wypowiedziach poetyckich Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*, [w:] Piątkowska-Brzezińska Józefina Inesa, Zel'dovič Gennadij Moisevič (red.), *Znaki czy nie znaki?. 3, Struktura i semantyka utworów lirycznych*. – Warszawa : Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, 2020, s. 169-187.

Jakubowska-Ozóg Alicja, *Krzysztofa Kamila Baczyńskiego wiersz o Świętym Franciszku : analiza i interpretacja*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Rzeszowskiego. Seria Filologiczna. Dydaktyka”, 2003, z. 2, s. 76-83.

Jaworska Iga, *„Miej serce i patrzaj w serce” : czy hasło Adama Mickiewicza zachowało swą aktualność w epoce pieców?*, „Warsztaty Polonistyczne”, 2000, nr 2, s. 87-90.

Jermak Marzena, *Kiedy spełnia się Apokalipsa... : o poetach – powstańcach warszawskich w 70. rocznicę śmierci*, „Grot”, R. 15[14], 2013/2014, nr 37/38, s. 49-60.

Klejnocki Jarosław, *Brylantowy pocisk*, „Nowe Państwo”, 2001, nr 25, s. 34-35.

Kmieciak Przemysław, *Poeta lewicowych dróg : Krzysztof Kamil Baczyński był związany z ruchem socjalistycznym*, „Przegląd”, 2020, nr 36, s. 42-44.

Koc Barbara, *Spuścizna rękopiśmienna Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*, „Rocznik Biblioteki Narodowej”, T. 7, 1971, s. 435-446.

Koniuszy Przemysław, *Wodne przemiany materii : motywy akwaticzne w poezji Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*, „Maska”, 2016, nr 31, s. 145-158.

Krauz Maria, *Jaka jest Barbara z „Białej magii” Krzysztofa Kamila Baczyńskiego?*, „Zeszyty Naukowe Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie. Historia Literatury”, 1999, z. 5, s. 289-294.

Król Piotr Stanisław, *Brylanty poezji w powstańczej krwi zanurzone*, „Myśl Polska”, 2014, nr 31/32, s. 10-11.

Kudyba Wojciech, *Baczyński : miłość, która zwyciężyła śmierć*, „Topos : miesięcznik o sztuce i ekologii”, R. 26, 2019, nr 5, s. 121-126.

Kuklas Monika, *Dobre smoki Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*, „Acta Universitatis Lodzianis. Folia Litteraria Polonica”, 2001, z. 4, s. 149-171.

Legeżyńska Anna, *Poetycka autobiografia Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*, „Polonistyka”, 2004, nr 4, s. 4-8.

Lewandowicz-Nosal Grażyna, *Baczyński : osobiście*, „Poradnik bibliotekarza : miesięcznik Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich”, 2021, nr 7/8, s. 13-15.

Łysiak Tomasz, *Elegia o poecie polskim : K. K. Baczyński*, „Gazeta Polska”, 2021, nr 3, s. 78-80.

Małczyński Bartosz, *Pasma śmiertelnej melodii : Krzysztof Kamil Baczyński i muzyka*, „Topos : miesięcznik o sztuce i ekologii”, R. 25, 2018, nr 1, s. 38-48.

Małecki Robert, *Nowe życie liryki : transkulturowe reminiscencje dwóch wierszy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*, [w:] Grzywka-Kolago Katarzyna, Kolago Lech, Jędrzejewski Maciej, Małecki Robert (red.), *Karły na ramionach olbrzymów? : kultura niemieckiego obszaru językowego w dialogu z tradycją. T. 1*. – Warszawa : Instytut Germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego, 2015, s. 113-124.

Mikołajko Zbigniew, *Wróciłem do Baczyńskiego : setne urodziny poety*, „Gazeta Wyborcza”, 2021, nr 18, dod. Wolna Sobota, s. 29.

Mroziński Arkadiusz, *Krzysztof Kamil Baczyński ; Tadeusz Gajcy*, „Poezja Dzisiaj”, 2010, nr 81, s. 51-52.

Nawrocka Ewa, *Jak oswoić Apokalipsę? : Krzysztof Kamil Baczyński „Bajka”*, [w:] Szczukowski Dariusz, Tomaszewska Grażyna (red.), *Sztuka interpretacji : poezja polska XX i XXI wieku*. – Gdańsk : Fundacja Terytoria Książki, 2014, s. 191-203.

Olczak-Ronikier Joanna, *Krzyś i Ryś*, „Zeszyty Literackie”, R. 36, 2018, nr 2, s. 221-223.

Opacki Ireneusz, *Elegia optymistyczna : o poezji Krzysztofa Baczyńskiego*, „Roczniki Humanistyczne”, T. 15, 1967, z. 1, s. 146-177.

Paziak Paweł, *„A pełno było krwi na ziemi i w obłokach” – konotacje semantyczne krwi w poezji K.K. Baczyńskiego*, „Poradnik językowy”, 2005, z. 4, s. 59-73.

Piwowarski Kordian ; Jacek Tomczuk (rozm. przepr.), *Baczyński jak Hamlet*, „Przekrój”, 2013, nr 10, s. 62-64.

Rawski Jakub, *Jerzy Andrzejewski – Krzysztof Kamil Baczyński : dzieje relacji : przyczynek biograficzno-literaturoznawczy*, [w:] Kasperek Anna, Wróbel Józef (red.), *Jerzy Andrzejewski czytany na nowo*. – Kraków : Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2015, s. 9-22.

Samsel Karol, *Krzysztof Kamil Baczyński : studium lęku przed wpływem Norwida*, [w:] Litka Paulina, Grochecki Konrad, Solska Ewa (red.), *Strach, fascynacja, niezrozumienie : dawne, obce wzorce kulturowe wobec ciągłości i zmiany*. – Krasnystaw : Muzeum Regionalne, 2018, s. 263-316.

Siwczyk Krzysztof, *Czy warto było umierać? : 100 lat temu urodził się Krzysztof Kamil Baczyński*, „Gazeta Wyborcza”, 2021, nr 17, s. 16-17.

Siwek-Niedźwiedzka Barbara, *Krzysztof Kamil Baczyński jako student : w osiemdziesiątą rocznicę urodzin*, „PAL Przegląd Artystyczno-Literacki”, 2001, nr 1/2, s. 59-65.

Spyra Paweł, *Optymizm i wojenna zawierucha : o wybranych lirykach Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*, [w:] Dłutek Aneta, Pietrzak Danuta (red.), *Nowy wymiar filologii. T. 1.* – Płock : Wydawnictwo Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej, 2016, s. 172-181.

Synoradzka-Demadre Anna, *Andrzejewski wobec śmierci Baczyńskiego : doświadczenie straty i presji matczynych złudzeń*, „Znaczenia”, 2013, nr 08, s. 59-70.

Synoradzka-Demadre Anna, *O początkach przyjaźni Jerzego Andrzejewskiego i Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*, „Kwartalnik Artystyczny : Kujawy i Pomorze”, R. 22[21], 2014, [nr] 4, s. 255-266.

Tramer Maciej, *Edycja, której nie było – albo : jak zrobiony jest Krzysztof Baczyński*, „Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach”, 2015, nr 3349, s. 85-97.

Wieczorek Karol, *Czy poezja Krzysztofa Kamila Baczyńskiego ma odcień polifoniczny? : psychologiczna próba interpretacji twórczości poety*, „Studia z Psychologii w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim”, T. 17, 2011, s. 27-54.

Wiśniewski Jerzy, *Muzyczny rezonans w świecie : o niektórych funkcjach odniesień muzycznych w wierszach Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*, „Acta Universitatis Lodzianensis. Folia Litteraria Polonica”, 2001, z. 4, s. 121-148.

Zabierowski Stefan, *„...kiedyś będą dumni, że jego uczyli!” : Krzysztof Kamil Baczyński – student polonistyki tajnego Uniwersytetu Warszawskiego*, [w:] Hryniewicz Karol, Samsel Karol (red.), *Poeci-studenci podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego wobec romantyzmu.* – Warszawa : Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, 2018, s. 55-65.

Zabierowski Stefan, *Odkrywca i promotor : Kazimierz Wyka – badacz Baczyńskiego*, „Śląsk : miesięcznik społeczno-kulturalny”, R. 26[27], 2021, nr 2, s. 7-9.

Zaczkowska-Szypowska Emilia, *Tomy rękopiśmienne Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*, „Sztuka Edycji : studia tekstologiczne i edytorskie”, 2019, nr 2, s. 37-47.

Zaczkowska-Szypowska Emilia, *Wybrane problemy edytorskie twórczości poetyckiej Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*, [w:] Dubicka Ewelina (red.), *Problemy wypowiedziane : XVI Warsztaty Młodych Edytorów.* – Lublin : Wydawnictwo KUL, 2019, s. 115-125.

Zazula Piotr, *Krzysztof Kamil Baczyński : w*, „Fraza : pismo literacko-społeczne”, 1995, nr 9, s. 74.

Żukowski Tomasz, „*Abym jak wiór ognisty spłonął w oddechu nocy*” : okupa-
cyjne doświadczenie świata w poezji Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, „Kon-
teksty : polska sztuka ludowa”, 1998, nr 3/4, s. 25-28.

III. Wydawnictwa elektroniczne

4ever Music, Piotr Młynarski, *Warszawskie dzieci pójdziemy w bój : piosenki
Powstania Warszawskiego*. – Warszawa : 4ever Music, [2007]. – płyta CD.

Baczyński Kamil Krzysztof (sł.) ; Kolberger Krzysztof (wyk.) i in., *Spojrzenie
; Pokolenie ; Przypowieść [...]*. – Warszawa : Tonpress, [1985]. – płyta analo-
gowa.

Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Ankh (wyk.) i in., *Ankh..* – Katowice : Metal
Mind Records, 2003. – płyta CD.

Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Ankh (wyk.) i in., *Ziemia i słońce*. – Katowice
: Metal Mind Records, 2003. – płyta CD.

Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Baczyńska Maja, Baczyńska-Kissas Dagny,
Baczyński Janusz (wyk.) i in., *Reduta Ordona : ogród polski 2*. – Warszawa :
Galeria i Teatr Bogny Lewtak-Baczyńskiej, 2001. – płyta CD.

Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Chudy Tadeusz (wyb.) i in., *Odeszli z różą
w sercu*. – Warszawa : Veriton, [1978]. – płyta analogowa.

Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Cugowski Krzysztof (wyk.) i in., *Integralnie*.
– Warszawa : Pomaton EMI, [2001]. – płyta CD.

Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Furmański Jacek (wyk.) i in., *Aniołowie biali
: testament poety*. – Piastów : Miejski Ośrodek Kultury, 2016. – płyta CD.

Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Głogowska Aleksandra (reż.) i in., „*Pora
gniewu*” : słuchowisko na podstawie utworu dramatycznego Krzysztofa Kami-
la Baczyńskiego. – Warszawa : Polskie Radio RDC, 2021. – płyta CD.

Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Komeda Krzysztof (wyk.) i in., *The complete
recordings of Krzysztof Komeda. Vol 22, Jazz & poetry*. – Warsaw : Polonia Re-
cords Co., 1998. – płyta CD.

Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Koteluk Mela, Kwadrofonik (wyk.) i in.,
Astronomia poety : Baczyński. – Warszawa : Muzeum Powstania Warszaw-
skiego, 2020. – płyta CD.

Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Lewtak-Baczyńska Bogna (wyk.) i in., *Za-
klęty ogród wyklętych i odrzuconych....* – Warszawa : Galeria i Teatr Bogny
Lewtak-Baczyńskiej, 1997. – płyta CD.

- Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Polska Orkiestra Radiowa (wyk.) i in., *Pieśni Księżycyca*. – Warsaw : DUX Recording Producers, 2018. – płyta CD.
- Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Przybylska Sława (wyk.) i in., *U brzegów Candle Rock*. – Warszawa : Polskie Nagrania, [1970]. – płyta analogowa.
- Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Sinfonia Varsovia (wyk.) i in., *Antologia polskiej muzyki współczesnej 1939-1945*. – Warszawa : Orkiestra Sinfonia Varsovia, 2014. – płyta CD.
- Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; The Ceez (wyk.) i in., *O chłopcu polskim*. – Warszawa : Polskie Radio. Agencja Muzyczna, 2017. – płyta CD.
- Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Unanime (wyk.) i in., *Baczyński*. – Warsaw : Requiem Records, [2020]. – płyta CD.
- Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Włodzimierz Korcz (aranż.) i in., *Pieśni Powstania Warszawskiego w nowych opracowaniach Włodzimierza Korcza*. – Warszawa : Fundacja Filharmonia im. Romualda Traugutta, [2014]. – płyta CD.
- Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) i in., *Dobre piosenki. Krzysztof Kamil Baczyński : zaśpiewany*. – Warszawa : MTJ, 2016. – płyta CD.
- Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) i in., *Sierpień*. – Warszawa : Narodowe Centrum Kultury ; Konstantynów Łódzki : Silver Records, 2016. – płyta CD.
- Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) i in., *Strofy o ojczyźnie*. – Warszawa : Polskie Nagrania, [1985]. – kasetka dźwiękowa.
- Baczyński Krzysztof Kamil, Barańczak Stanisław (sł.) i in., *Piwnica pod Baranami. CD 4, O Groblach na Groblach*. – Warszawa : Polskie Radio, [2001]. – płyta CD.
- Baczyński Krzysztof Kamil, Gajcy Tadeusz (sł.) ; Szymoniak Bartosz (prod.) i in., *Alarm*. – Warszawa : S.P Records & Publishing Company Sławek Pietrzak Music Production, [2017]. – płyta CD.
- Baczyński Krzysztof Kamil, Gajcy Tadeusz (sł.) i in., *W wierszu i boju 1914-1949*. – Warszawa : Contra Mundum, [2016]. – płyta CD.
- Baczyński Krzysztof Kamil, Gałczyński Konstanty Ildefons (sł.) ; Kolberger Krzysztof (wyk.) i in., *Przy wigilijnym stole : najpiękniejsze kolędy polskie*. – Częstochowa : Edycja Świętego Pawła, [2000]. – płyta CD.
- Bolec, Broda Jozsko (wyk.) i in., *Piosenki i muzyka z filmu Spona*. – Polska : MTL Maxfilm-Press, [1998]. – płyta CD.
- Komenda Główna Policji, *Chóry i orkiestry polskiej Policji*. – Warszawa : Gabinet Komendanta Głównego Policji, [2014]. – płyta CD.
- Konieczny Zygmunt ; Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Demarczyk Ewa (wyk.) i in., *Ewa Demarczyk : śpiewa piosenki Zygmunta Koniecznego*. – Warszawa : Polskie Nagrania, 1999. – płyta CD.

Konieczny Zygmunt ; Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Demarczyk Ewa (wyk.) i in., *Ewa Demarczyk śpiewa piosenki Zygmunta Koniecznego*. – Warszawa : Warner Music Poland, A Warner Music Group Company, 2020. – płyta analogowa.

Lewtak-Baczyńska Bogna ; Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) ; Witkowski Jerzy (wyk.) i in., *Ogród zaklęty : K.K. Baczyńskiego wiersze, piosenki własne*. – Warszawa : Galeria i Teatr Bogny Lewtak-Baczyńskiej ; Centrum Sztuki Well Art, 1997. – płyta CD.

Niedziela Jacek ; Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) i in., *Jazzowe poetycje*. – Warszawa : Koch International, 1996. – płyta CD.

Pawlik Włodek ; Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) i in., *Baczyński 100*. – Warszawa : Pawlik Relations Recording Producer, 2021. – płyta CD.

Rogóyski Andrzej ; Korcz Włodzimierz (oprac.) i in., *Pieśni polskich powstań narodowych*. – Warszawa : Polskie Radio, Agencja Muzyczna, [2018]. – płyta CD.

Teatr „Od Czapy” (wyk.) ; Fundacja Sztafeta (prod.) i in., *Opowieść '44. Część 1, W bój pójdziemy*. – Warszawa : MTJ, [2017]. – płyta CD.

Turnau Grzegorz (wyk.) i in., *Grzegorz Turnau*. – Warszawa : Pomaton EMI, [2003]. – płyta CD.

Turnau Grzegorz (wyk.), Szybist Maciej (koment.) i in., *L*. – Warszawa : Wydawnictwo Agora, [2017]. – płyta CD.

Turnau Grzegorz ; Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) i in., *Kawałek cienia*. – Warszawa : Pomaton EMI, 2000. – płyta CD.

Wójcicki Jacek, Wyrodek Halina (wyk.) i in., *Artyści Piwnicy pod Baranami. Halina Wyrodek*. – Warszawa : Polskie Radio, [2002]. – płyta CD.

Zygmunt Sławomir ; Baczyński Krzysztof Kamil (sł.) i in., *Z wiatrem : Sławomir Zygmunt śpiewa wiersze Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*. – Warszawa : Polskie Radio S.A., 2016. – płyta CD.

Spis treści

Tadeusz Skoczek. Baczyński. Między romantyzmem a katastrofizmem.....7

I.

<i>Ballada o wisielcach</i>	15
<i>Ballada o szczurach</i>	17
<i>Ballada o bezrobotnym strachu</i>	19
<i>Ballada o pociągu</i>	20
<i>Śmierć samotna</i>	22
<i>Lasem</i>	23
<i>Zła kołysanka</i>	24
<i>Piosenka</i>	25
<i>Inny erotyk</i>	26
<i>Idylla kryształowa</i>	27
<i>Zwierciadło</i>	28
<i>Harmonia Beethovena</i>	29
<i>Ci ludzie</i>	30
<i>Teologia</i>	32
<i>Elegia</i>	33
<i>Rzeczy niepokój</i>	34
<i>Dzień sądu</i>	35
<i>Pioseneczka</i>	36
<i>*** (Nie znam tych słów, o które świat się oparł...)</i>	37
<i>Wolność</i>	39
<i>Historia</i>	41
<i>Młodość</i>	43
<i>Źródło</i>	45
<i>U niebios rozkwitających</i>	46
<i>Ten czas</i>	48
<i>Znowu jesień</i>	49
<i>Z wiatrem</i>	51

II.

Z „Pieśni pierwotnych”	55
Elegie zimowe	57
Poemat o Chrystusie dziecięcym	61
Legenda	75
Ostatni wiersz.....	77
Sen	78
Serce jak obłok.....	80
Szklany ptak.....	89
Ballada zimowa.....	103
Olbrzym w lesie.....	105
Śnieg	111
Poemat o Bogu i człowieku	114
Wesele poety	125
*** (Ach, umieram, umieram. Jesień...)	133
Wybór	138

III.

*** (Czarne cheruby kołyszają widnokrąg...).....	145
Piosenka	146
Żal	147
*** (Stąd: niebo jest duże jak niebo południa...)	148
Okręty zimowe	149
Powrót w Tatry	150
Stuletni wieczór	151
Piosenka	152
Wisła	153
Sur le pont d'Avignon	154
Starość.....	155
Ballada o rzece	156
Jesienny spacer poetów.....	158
Przypowieść	159
Pokolenie.....	160
Bez imienia.....	161
Drzewa.....	162

<i>Z szopką</i>	163
<i>Psalm 1. O pragnieniu</i>	165
<i>Psalm 2. O krzyżu</i>	166
<i>Psalm 3. O łasce</i>	167
<i>Psalm 4</i>	168
<i>Bohater</i>	169
<i>*** (W każdej przemianie podobna kręgowi czasu...)</i>	171
<i>Miłość</i>	172
<i>Wielkanoc</i>	173
<i>*** (O miasto, miasto — Jeruzalem żalu...)</i>	175
<i>Hallelujah</i>	177
<i>Noc</i>	178
<i>Martwa pieśń</i>	179
<i>Rorate coeli</i>	181
<i>Prolog (Ojczyzna)</i>	182
<i>Wigilia</i>	184
<i>Miłość</i>	186
<i>Modlitwa II</i>	188
<i>Obozy</i>	189
<i>Warszawa</i>	191
<i>*** (Byłeś jak wielkie, stare drzewo...)</i>	193
<i>Do przyjaciela</i>	195
<i>*** (Niebo złote ci otworzę...)</i>	196
<i>Pokolenie</i>	198
<i>Mazowsze</i>	200
<i>Rodzicom</i>	203
<i>Cień z obozu</i>	205
<i>Do Matki Boskiej</i>	208
<i>Spojrzenie</i>	209
<i>Z głową na karabinie</i>	211
<i>Poległym</i>	213
<i>Elegia o... [chłopcu polskim]</i>	215
<i>Westchnienie</i>	216
<i>Pocałunek</i>	217
<i>Krzysztof Kamil Baczyński. Bibliografia w wyborze. Karina Lewicka</i>	219

Koordinacja pracy redakcyjnej

Karina Lewicka

Redaktor edycji

Piotr Maroński

DTP

Zecer – Wojciech Jelonek

Promocja

Piotr Piegat

ISBN 978-83-66640-61-0

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości
(identyfikator wydawnictwa naukowego 42 700)

al. Solidarności 62; 00-240 Warszawa
wydawnictwo@muzeumniepodleglosci.art.pl